

NASZE ŻYCIE

Cena 20 sant

Kto w poświęceń zmarł godzinie,
Ten się w drugich przelał tylko!
Mieszka w ludzkich serc ukryciu
I z dniem każdym, z każdą chwilką
Żywy rośnie w tej mogile.

Kto swą śmiercią życie pleni,
Wiecznotrwały ten na ziemi,
Lecz kto życiem swem śmierć daje,
Ten, gdy kona, już nie wstaje

Zygmunt Krasiński

POLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Rok III

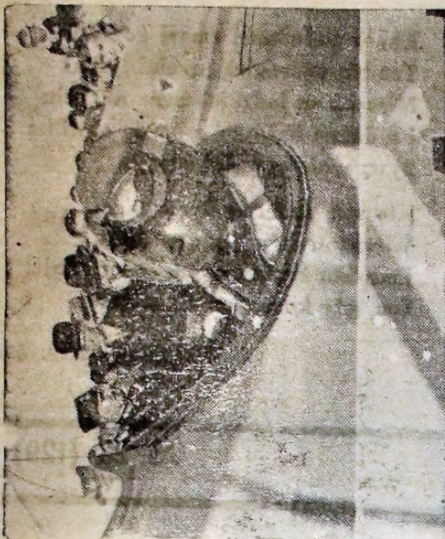
Ryga, 6 czerwca 1937 r

№ 23 (129)



Na własnym gospodarstwie

S. Matiss-Abolinas



Z lewej: Urzędnicy i pracownicy VEF'u (Państwowej Fabryki Elektrotechnicznej) na placu podczas startu samolotu, który ufundowali oni ze składek lotewskiemu klubowi lotniczemu. W kole minister komunikacji inż. B. Einbergs przed samolotem.

TYDZIEŃ

Na froncie gospodarczym

— Rezultaty działalności Komitetu do spraw Reformy Rolnej. W związku z ukończeniem prac w dziedzinie przeprowadzenia reformy rolnej przypadającym na 31. maja b. r., podajemy niektóre liczbowe dane, oświetlające ten olbrzymi wysiłek, jaki został wykonany dla zupełnego zrealizowania nowego ustroju własności ziemskiej.

Główny Komitet Rolny za czas swego istnienia od października 1920. r. do 1. czerwca 1937 r. odbył 15.635 posiedzeń.

Na podstawie ustawy o reformie rolnej do państwowego funduszu zgłoszono 8189 hipotecznych pożyczek. Dla rozparcelowania wyznaczono 1.700.000 ha. Z tej liczby utworzono 161.879 nowych jednostek ziemi o ogólnej powierzchni 1.683.500 ha. Oprócz tego w miastach i miasteczkach rozdano 37.178 działek o łącznej powierzchni 27.500 ha. W ten sposób państwowy fundusz rolny wyznaczył ogółem 199.057 działek o powierzchni 1.740.890. 15.000 ha pozostało jeszcze nierozdzielonych. Jednocześnie z wprowadzaniem w życie reformy rolnej skomasowano 4546 wiosek, co dało 70.325 chutorów o ogólnej liczbie 700.637 ha. W związku z parcelacją ziemi do Senatu podano 10.000 założeń, w 1449 wypadkach Komitet Główny z własnej woli prosił o uchylene jego zarządzeń. Senat uchylił 1735 postanowień Gł. Komitetu. Z ogólnej sumy działek 185.416 już zostało oszacowanych przez taksatorów Ministerstwa Rolnictwa, a główna komisja taksacyjna zatwierdziła 181.762 działek na łączną sumę Łs 61.554.012.

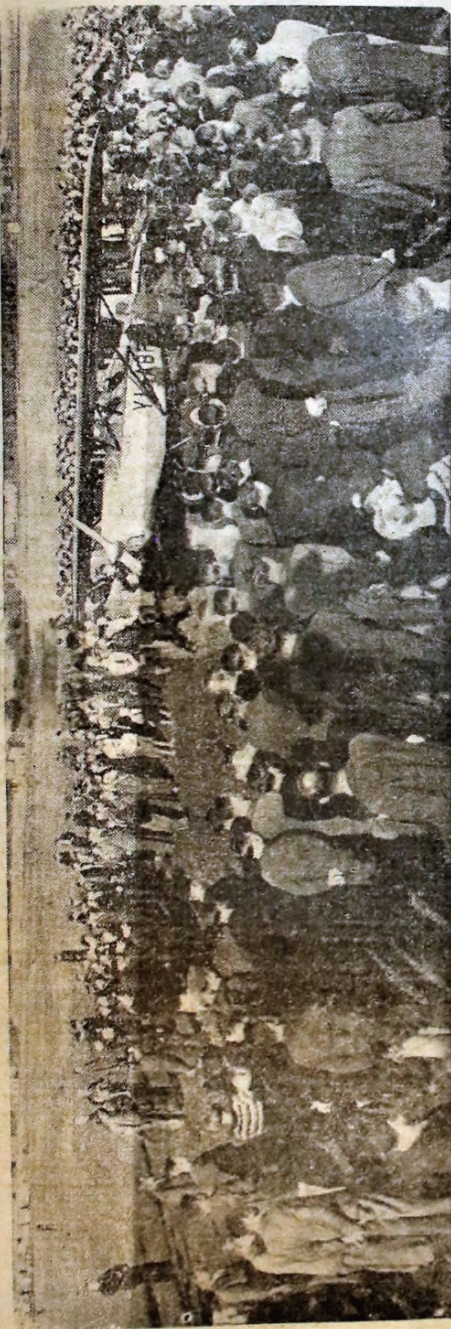
— Eksport nierogacizny z Łotwy do Niemiec obliczony jest na najbliższy okres na 80 sztuk. Największe nasilenie eksportu przypadnie na jesień b. r. W

tym celu „Bekona eksports” będzie zakupował sztuki od 120 kg żywej wagi.

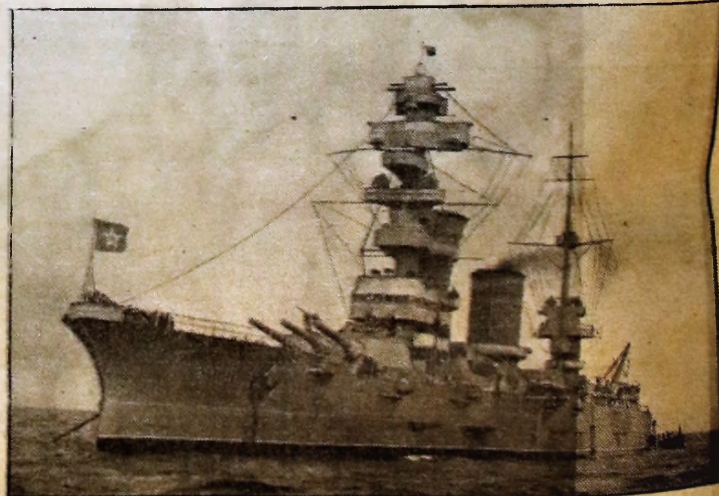
— Według informacji „Briwa Zeme” w Łatgali parcelacji uległo 4746 majątków o ogólnej powierzchni 741.976 hektarów. Naogół zawdzięczając reformie rolnej, utworzono 82.002 nowych gospodarstw, które zabezpieczyły byt co najmniej 250.000 obywateli łotewskich.

Z kroniki charakterystycznych wydarzeń

— Na lotnisku w Spilwie miał ostatnio w stolicy miejsce charakterystyczny wypadek lądowania jednego z samolotów estońskich z jednym kołem. Mianowicie, samolot wracał z Litwy, gdzie brał udział w święcie lotniczym w Kownie. W okolicach Lielupe silnik samolotu przestał pracować, wobec czego samolot wylądował na nadbrzeżnej łące. Po naprawieniu silnika, lotnik wystartował do dalszego lotu, ale w momencie startu odpadło mu jedno z kół samolotu. Na lotnisku w Spilwie zauważono brak koła i wszczęto alarm: puszczono kilka rakiet, sygnalizujących niebezpieczeństwo, oraz wycieczono na lotnisko duże koło od samolotu, aby zwrócić uwagę lotnika, że ląduje z jednym kołem. Jakież było zdziwienie a potem radość obecnych, gdy samolot, po kilkakrotnym okrążeniu lotniska, wylądował szczęśliwie i uśmiechnięty lotnik zakomunikował, iż wiedział o brakującym kole, zapytując z kolei obecnych: — A i cóż właściwie miałem innego robić, jak nie lądować?



Pancernik sowiecki „Marat” w porcie Liepajskim.



W ŁOTWIE

Kronika polityczna

— W drodze powrotnej z Genewy minister Spraw Zagranicznych Łotwy W. Munters zatrzymał się w Berlinie, gdzie odbył rozmowę z ministrem Spraw Zagranicznych Niemiec Neurathem

— 1. czerwca b. r. powrócił z Genewy drogą przez Berlin minister Spraw Zagranicznych Łotwy W. Munters. W rozmowie z dziennikarzami minister Munters wypowiedział się na temat obecnej sytuacji w polityce międzynarodowej oraz stwierdził rosnący wciąż autorytet Ligi Narodów.

Min. Munters wyraził poza tym zadowolenie z rozmów, jakie przeprowadził z mężami stanu wielu krajów podczas pobytu swego na uroczystościach koronacyjnych w Londynie, na obradach Ligi Narodów w Genewie oraz później — w drodze powrotnej — w Berlinie.

— Przedstawicielem wojskowym Łotwy w ZSRR mianowany został przez ministra Wojny na miejsce płk. Lejnia — płk. J. Zalitis.

— Do portu w Liepai przybył w drodze z uroczystości koronacyjnych w Londynie oraz po kilkadziesiąt dniowym pobycie w Kłajpedzie pancernik marynarki wojennej ZSRR „Marat”. Jest to pierwsza wizyta okrętu wojennego ZSRR na wodach łotewskich. Z Liepai „Marat” udał się do Tallinna.

...sportowa

— Spotkanie międzypaństwowe w piłce nożnej Łotwa—Litwa, mające odbyć się 15. b. m., zostało przez Łotewski Związek Piłki Nożnej odwołane. Powodem odwołania jest atmosfera, jaka wytworzyła się w stosunkach sportowych łotewskoliteńskich po drugich mistrzostwach Europy w koszykówce.

Z dziedziny kulturalno-oświatowej

— 2. czerwca b. r. Rada Uniwersytetu Łotewskiego powołała na rektora Uniwersytetu w następnym roku akademickim prof. M. Primariša. Dotychczasowy rektor prof. dr. J. Auskaps, pełniący obowiązki rektora przez cztery lata, wyjeżdża w niedługim czasie za granicę, celem kontynuowania pracy naukowej.

— Kongres historyków Europy Północnej w Rydze odbędzie się w dniach 16—21 sierpnia b. r. W kongresie wezmą udział historycy z Łotwy, Polski, Niemiec, Danii, Estonii, Finlandii, Litwy i Szwecji w liczbie przeszło 50 osób. Polskę na kongresie reprezentować będą profesorowie — Handelsman i Halecki.

— Uroczystości rozdawnictwa świadectw dojrzałości w szkołach średnich w całej Łotwie odbędą się w dniu 19. czerwca b. r.

— W zakończonym dopiero roku akademickim w konserwatorium łotewskim w Rydze studiowało 195 Łotyszów, 50 Żydów, 16 Rosjan, 11 Niemców, 2 Litwinów i 2 Estończyków oraz 1 Polak.

— Szkoły podstawowe w Łotwie, w

Oprawione komplety „Naszego Życia” i „Krasnoludków” za rok 1935 i 1936 w cenie po Ls 4,50

i Ls 1,- można nabyć w administracji „Naszego Życia”

WYSZEDŁ Z DRUKU i jest do nabycia podręcznik:

„Rachunki”

M. MAKOWSKIEGO

Drugi rok nauki na klasę I-szą dla polskich szkół podstawowych w Łotwie.

Wydawnictwo Związku Nauczycieli Szkół Polskich w Rydze.

Cena Ls. 1,20.

Zezwolony do użytku przez Ministerstwo Oświaty.

Skład główny: KEMPE, Ryga, ul. Skolas 30.

myśl informacyj Ministerstwa Oświaty, ofiarowały dotychczas na budowę parku Uzwaras przeszło 112.000 latów.

Wiadomości bieżące

— Zbiórka ofiar na budowę parku Uzwaras została zamknięta. Dała ona Ls 2.759.675,51 w gotówce. Ponadto zakupiono 17.696 biletów loteryjnych oraz zadeklarowano 105.818 dni pracy.

— Na międzynarodową konferencję pracy w Genewie, rozpoczynającą się na początku b. m., wyjechała delegacja łotewska, której przewodniczy przedstawiciel Prezydenta Państwa minister Spraw Społecznych A. Berziņš.

— Pierwszym posłem Argentyny w Łotwie będzie wiceminister spraw zagranicznych Argentyny dr. O. Itarra-Garcia.

— W Jelgawie otwarto i poświęcono w ub. sobotę nowy szpital, którego budowa kosztowała przeszło Ls 400.000.

— Od 1. czerwca b. r. sklepy miejskie w stolicy zamykane są już od godz. 17.30.

— Kolejną wycieczkę do Polski organizuje „Celtrans” w dniu 12. b. m. Wycieczka zwiedzi Kraków, Wieliczkę i Warszawę. Bliższe szczegóły w „Celtransie” (tel. 22301).

— Jak wynika z wiadomości, zamieszczonych w prasie, na fundusz lotnictwa wojskowego w Łotwie zebrano w drodze ofiar i składek przeszło 4 miliony 840.000 latów.

— Obszar zasiewów lnu osiągnął na wiosnę b. r. 70.000 ha. Należy zauważyć, że obszar posiewu lnu przed wojną wynosił około 75.000 ha.

— Od 1. lipca b. r. na listy i przesyłki do Finlandii nalepić się będzie znaczki pocztowe według taryfy wewnętrzno-krajowej (list Ls 0,20, karta pocztowa Ls 0,10 etc.). Taka sama taryfa ustanowiona jest już oddawna, jak wiadomo, z Litwą, Estonią i Szwecją.

— Jedną z najstarszych łotewskich firm wydawniczych sp. akc. „Walters un Rapa” obchodziła ostatnio 25-lecie swego istnienia. Jest to obecnie jedno z największych tego rodzaju przedsiębiorstw w Łotwie. W ciągu 25-lecia istnienia firma ta wydała 2856 książek o ogólnym nakładzie 8.824.500 egzemplarzy.

PODZIĘKOWANIE

W czasie uroczystej Mszy św. 30-go maja b. r. przy kościele św. Franciszka zebrałem na budowę kościoła Chrystusa-Króla Ls 916.— Serdeczne Bóg zapłać wszystkim ofiarodawcom.

Ks. K. Wilnis.

Ofiary na budowę kościoła Chrystusa-Króla składać można na ręce ks. K. Wilnis'a oraz w redakcji „Naszego Życia”. Nazwiska ofiarodawców zamieszczane będą w prasie.



Młodzież wie-
dza wystawę
tulipanów ot-
wartą w stolicy

Madryt — twierdza broniona przez cudzoziemców

Drogi Hiszpanii to najlepszy, najbardziej wymowny dokument tragicznej rzeczywistości, w tym kraju panującej. Drogi Hiszpanii, te wspaniałe, asfaltowe, idealnie budowane, prawie autostrady, to dzieło niezwykłego dzisiaj dyktatora Primo de Rivera. Powstały te pyszne gładkie szlaki nie dla mułów czy osłów nędzarzy z Estramadury bądź Asturii: sieć ich rozrosła się bo... trudno było Rolls-Royce'om i Hispano-Suizom przedzierać się przez wertepy bezdroży. Dzisiaj tymi drogami, nieprzerwanym sznurem, gnają „zainkautowane“ limuzyny czy rozgłośnie stukoczą potężne „kamiony“ nieprawdopodobnie wyładowane skrzyniami z amunicją, bidonami z benzyną, workami z kapustą.

Na dworcu w Walencji nie ma po co szukać rozkładu jazdy pociągów do Madrytu. Ten środek lokomocji trzeba zaliczyć do legend. Zresztą, zając z baedekera „przedwojenną“ szybkość pociągów hiszpańskich, nie martwię się bardzo. Do Madrytu jadę autem, przydzielonym mi uprzejmie przez ministerstwo spraw zagranicznych. Wóz mknie szybko, nie tak jednakże szybko, żeby nie można było zauważyć jak bardzo, jak radykalnie zmienia się film za oknami limuzyny. Pyszna zieleni południa, sady pomarańczowe połyskujące rdzawymi plamami owoców, usuwają się w cień, przed oczyma piętrzą się rude skały, puste, skwierczące pod kołami maszyny drobniotkim szabrem, którym, mimo rewolucji, dróżnicy naprawiają szosę. Droga wiję się serpentynami, biegnie coraz wyżej. Jest coraz mniej zieleni, coraz smutniej i zimniej.

RĘCE W KIESZENIACH

Przemykamy przez miasteczki i „puebla“ lepione z gliny, tragicznie biedne, szare, obojętnie zerkające na nasz wóz oczyma ludzi, którzy, gromadkami sterczą pod ścianami domostw. Ci ludzie mają ręce w kieszeniach, przez ramiona najczęściej przewieszane karabiny. Z czego żyją ci ludzie? Raz dopędzamy jakiegoś auto, to znów nas spycha na prawo klakson niecierpliwiej maszyny. Chwilami aut jest tyle, że trzeba jechać w długiej kolejce, niby wieczorem na polach Elizejskich. Im bliżej jesteśmy strefy walki, tym częściej musimy zatrzymać się. Z namaszczonej uwagą czytają nasze przepustki posterunki drogowe, zaglądają nam nieufnie w oczy i nagle... śmieją się przyjacielsko, jakgdyby to wszystko, co robili pięć sekund temu, było zwykłym „kawalem“.

W pokoju hotelowym zimno. Sprawdzam centralne ogrzewanie — nie działa. Nie ma ciepłej wody w kranach, nie ma również szyb w oknach, które przysłonięte są jedynie nieszczelnie dopasowanymi kartonami dykty. Dzwonię do portiera. Odpowiada mi prawie wesoło, że przecież mieszkam w hotelu, który jest naprzeciw Telephoniki, codziennie i systematycznie bombardowanej, więc jakże w tych warunkach szyby...

W dziennym świetle widać okrutne pokaleczenia betonowego kolosa Telephoniki. Nie bardzo rozumiem, dlaczego właśnie ten gmach artylerii powstańców obdarza takim „zainteresowaniem“. Nie bardzo wiem, dlaczego na Gran Vie, zwykłą ulicę śródmieścia wali się co dnia grad pocisków, które koszą bezlitośnie przechodniów.

Madryt jest brudny. Wiatr pędzi ulicami kłęby kurzu i śmieci, ciska nimi w oczy przechodniów, jak gdyby chciał zamknąć je na wszystkie okropności tego miasta, bohatersko walczącego z przeciwnikiem.

TRAGICZNA WYMOWA ZNISZCZENIA MADRYTU

Dopiero w Madrycie widzi się w całej, koszarnej grozie bezmyślne okrucieństwo wojny. Co krok napotykam domy potwornie zrujnowane, domy-upiory z powypruwanymi wnętrznościami, domy-kupy gruzu, co krok otwierają się pod mymi stopami wyrwy, widomy dowód, że tu właśnie padł pocisk. Okna wystawowe, zamiast szyb deskami zabite, napisy zawieszane na ścianach kamieniem, a głoszące, że w tym domu mieści się schron przeciwlotniczy, to wszystko jest jeszcze jednym dokumentem bezmiaru okropności wojny domowej.

Mijam jakiś kościół. Drzwi doń wiodące są zamurwane, ściany frontonu oklejone plakatami, postać świętego widoczna nad portalem, przyodziana w... czerwona furażerkę, trzyma w kamiennej dłoni czerwony proporzeczek... Inne kościoły są otwarte, ale zainstalowano w ich wnętrzach... garaże, składy mundurów, składy żywności. Sterczą przed nimi długie „ogonki“ wygłodniałych ludzi. Cierpliwie czekają na odrobinę strawy...

Tych „ogonków“ jest pełno w Madrycie. Mroźno jest na wyżynie kastylijskiej, więc łakną

ludzie chociażby kilku garści węgla, łakną chleba i mleka, pomarańczę i mięsa. Cóż są winni ci ludzie, że nie wystarcza im do życia chwafa wojsk republikańskich, że głodu nie potrafią rozpedzić lekturą propagandowych afiszów, że Socorro Rojo Internacional znajduje pożywienie tylko dla „blagonadziejnych“.

I tak ludzie Madrytu, to bohaterowie pierwszej wody. Nikogo z nich nie przeraża huk dział, nikt nie denerwuje się zajadym szczekaniem karabinów maszynowych. Kiedy na Gran Vię padają pociski armatnie, ludzie Madrytu z wnek w murach domów, z okien czy drzwi sklepów przyglądają się im obojętnie. Równie obojętnie wpatrują się w potężne Junkersy, majestatycznie płynące nad miastem w aureoli pekających wokół szrapneli. Bomby? Czas będzie chować się, kiedy samolot zacznie „pikować“. Tak, ludzie Madrytu bardzo oswoili się ze śmiercią, kałużę krwi na bruku Gran Vię nie robią na nich najmniejszego wrażenia. Widzieli już przecie wszystko: i płonące niby jaskrawe pochodnie — kościoły, i mordowanych księży, i gwałcone zakonnice, i masowe szlachtowanie ludzi niechętnych rewolucji. Cóż ich może dzisiaj wstrząsnąć, zadziwić, przerazić?...

WIEŻA BABEL KOMUNISTYCZNYCH OBROŃCÓW

Obok czerwieni chorągwi komunistycznych i czarno-czerwonych anarchistycznych, widzisz co najwyżej barwy republiki, ale na ulicach Madrytu, w jego hotelach, w lokalach publicznych usłyszysz chyba wszystkie języki świata. W hotelu „Florida“ kanadyjscy piloci piją whisky z angielskimi i amerykańskimi dziennikarzami, Hemingway, świetny twórca „Pożegnania z bronią“ z madrym uśmiechem przysłuchuje się barwnej opowieści Reglera, komisarza politycznego 11-ej międzynarodowej brygady. John dos Passos gra w orła i reszkę z miss Kayzer, kierowniczką radiostacji madryckiej. Łatwiej rozmawiać tu po rosyjsku, niż porozumieć się po hiszpańsku.

Oczywiście muszę zobaczyć miasto Uniwersyteckie. Żeby się doń dostać, trzeba mieć nie tylko przepustkę sztabu generalnego podpisaną przez obrońcę Madrytu, gen. Miaję, ale trzeba jeszcze umieć kluczyć między barykadami, których powystały setki, które przemieniły Madryt w twierdzę

Nowe drogi Irlandii

Wolne państwo Eire

IRLANDIA ZRYWA OSTATNIE WIĘZY, ŁĄCZĄCE JĄ Z W BRYTANIĄ. Podczas gdy wszystkie narody i dominia Imperium Brytyjskiego wzięły niezmiernie żywy i aktywny udział przez swoich czołowych reprezentantów w niedawnej koronacji króla Jerzego VI i królowej Elżbiety, przedsięwzięcie się nawzajem w lojalizmie, jeden naród, który przynajmniej nominalnie należy do wspólnoty brytyjskiej, świecił nieobecnością, a nawet starał się zaznaczyć swoje wrogie stanowisko. Są to Irlandczycy, którzy jedną po drugiej zrywają nici łączące ich jeszcze z koroną brytyjską.

Irlandia (albo raczej Eire, jak chce się obecnie nazywać) nie tylko nie wysłała żadnego przedstawiciela na uroczystości koronacyjne do Londynu, lecz starała się zaakcentować, że z „impresą“ koronacyjną nie ma nic wspólnego. W dniu, który dla całego Imperium brytyjskiego był dniem świętym, w parlamencie irlandzkim toczyła się dyskusja nad projektem nowej konstytucji, która ma usankcjonować ostateczne zerwanie z koroną angielską. Wreszcie onegdaj, w dzień po koronacji, pomnik jednego z przodków Jerzego VI w Dublinie, króla Jerzego II, wysadzony został w powietrze przez nieznaną sprawców.

Ten zamach na pomnik jest przejawem wrogich nastrojów, jakie panują w Irlandii względem Anglii, ale dla stosunków irlandzko-angielskich w przyszłości bez porównania większe znaczenie przedstawia wspomniany projekt nowej konstytucji. Ma ona swoim i obcym uzmysłowić ostatecznie, że państwo irlandzkie jest wolne i niezależne. Postanowienia już wstępnych artykułów mówią: „Naród irlandzki stwierdza swoje niewzruszone, niezniszczalne i suwerenne prawo wybrania sobie własnej formy rządów i ułożenia stosunków z innymi krajami... Eire jest państwem demokratycznym, niezależnym i suwerennym... Terytorium państwowe

NA SZEROKI

nie do zdobycia, trzeba umieć chować się przed kulami, które gwizdzą tu coraz gęściej, coraz dokuczliwiej.

NA FRONCIE

Mijamy kiedyś luksusowe, dzisiaj straszliwie poszarpane wille, pałacyki, w których ulokowały się czołówki, dowództwa poszczególnych kompanii, centrale telefoniczne, rozdzielniki kurierów, kuchnie polowe, etc.

Mijamy jakieś ochłapy ludzkie, niedbale dżwigane na noszach i nagle z wnętrza białej, okrutnie postrzępionej willi schodzimy w piwniczny mrok. Kilkanaście kroków, trzeba dobrze schylić się i... głęboki okop. Oficer pokazuje mi przez wizjer wielki, niewykończony, czerwonymi ceglami luskający szkielet wielkiego budynku.

— Tam siedzą faszyści! — mówi spokojnie

Między czerwonym budynkiem, a naszym okopem leży jakiś wielki worek. Przyglądam mu się dokładnie przez połowę lornetę. Człowiek, a raczej człowieczy trup. Temu już są obojętni i faszyści i czerwoni...

AZYLANCI

Korpus dyplomatyczny, akredytowany przy rządzie republiki, w olbrzymiej swej większości przeniósł się razem z tym rządem do nowej stolicy — Walencji, a przecież mimo to na ulicach Madrytu spotyka się pełno aut opatrzonych literami: „CD“ i flagami najróżniejszych państw kuli ziemskiej. W dzielnicy Salamanca flagi te powiewają nad wielu, bardzo wielu domami o charakterze raczej kamiennej czyszynowych, niż pałaców zwykle zajmowanych przez poselstwa czy ambasad. Te domy, to t. zw. hogary, czyli schroniska, w których, zabezpieczeni herbem i banderą poselstwa, znaleźli schronienie ci wszyscy, którym rewolucja nie przypadła do smaku. Mieszkają w tych hogarach sławni już w całym świecie „azyłanci“, o których tyle mówiono w Genewie. Jest ich ogółem ponad 8 tysięcy.

Włodzimierz Popławski

składa się z całej Irlandii, jej wysp i wód terytorialnych“.

O roli i funkcjach gubernatora generalnego W. Brytanii, który w myśl postanowień traktatu anglo-irlandzkiego z r. 1921. był reprezentantem władzy królewskiej w Irlandii, nie ma zupełnie mowy. Instytucja gubernatora angielskiego została prawnie przekreślona, jak to zresztą w praktyce nastąpiło już dawniej. Szefem państwa jest prezydent, wybrany na 7 lat w drodze powszechnego i bezpośredniego głosowania. Atrybucje ustawodawcze należą do dwóch izb, izby niższej, zwanej Dail, i Senatu. Władzę wykonawczą sprawuje rząd, a prócz tego istnieje Rada Stanu, która stanowi rodzaj ciała doradczego przy prezydencie. W skład jej wchodzi: szef rządu, przewodniczący obu izb i prezes sądu najwyższego.

Z oryginalnych właściwości konstytucji irlandzkiej wymienić należy niezmiernie silne zaakcentowanie religijnego charakteru państwa. Konstytucja zapewnia wolność wszelkich wyznań, ale kościołowi katolickiemu wyznacza specjalne i naczelne stanowisko. Wstęp do konstytucji ma brzmienie następujące: „W imieniu Świętej Trójcy, od której pochodzi wszelka władza i z którą w zgodzie powinny być wszystkie czyny jednostek i państw, my, naród Eire, uznając w pokorze wszystkie nasze obowiązki względem naszego Pana Jezusa Chrystusa, który wspierał naszych praójców przez wieki cierpienia, wspominając z wdzięcznością ich niezłomną i heroiczną walkę o odzyskanie sprawiedliwej niepodległości naszego narodu...“ itd.

Jeśli chodzi o stosunek do Anglii i Imperium brytyjskiego, to skąpej aluzji doszukać się można jedynie w tym artykule nowej konstytucji, który upoważnia rząd irlandzki do posługiwania się takim lub innym „organizmem, instrumentem lub me-

M ŚWIECIE

toż działania, jakiej do potrzebnych celów używają członkowie grupy lub ligi narodów z którymi Eire jest złączone lub połączy się na przyszłość dla współpracy międzynarodowej lub osiągnięcia wspólnych celów“.

Po uchwaleniu przez parlament, gdzie ma zapewnioną większość, projekt konstytucji zostanie poddany do zatwierdzenia narodowi irlandzkiemu w drodze plebiscytu. Co uczyni wtedy Anglia? Nie wydaje się, żeby miała uciec się do siły, która jedynie mogłaby zmusić Irlandię do cofnięcia się z drogi, na którą weszła. Lecz nawet w wypadku, gdy Anglia pogodzi się z faktem, nie wydaje się, żeby stosunki anglo-irlandzkie ułożyły się pomyślnie. Kością niezgody pomiędzy Anglią i Irlandią pozostanie nadal kwestia Irlandii północnej. Jak wiadomo, sześć okręgów północnych ze stolicą w Belfaście, silnie zanglizowanych i zamieszkałych przez ludność protestancką, włączonych zostało traktatem z r. 1921. do Anglii. Irlandczycy jednakże nie zrezygnowali z tej części „Zielonej wyspy“ i nie zamierzają zrezygnować, gdyż — jak to wyżej przytoczyliśmy — jeden z artykułów nowej konstytucji mówi, że „terytorium państwa irlandzkiego składa się z całej Irlandii“.

Więści ze Wschodu

CO SIĘ DZIEJE W ZSRR?

W przeddzień wyjazdu delegacji sowieckiej na uroczystości koronacyjne do Londynu, zastępca komisarza wojny Woroszyłowa, marszałek Tuchaczewski, został ze składu osobowego tej delegacji wycofany. Na miejsce jego pojechał szef floty wojennej admirał Orłow. Po kilku zaś dniach rząd ZSRR ogłosił oficjalny komunikat, w którym podaje do wiadomości, że zastępca komisarza obrony narodowej marszałek Tuchaczewski został mianowany dowódcą nadwołżańskiego okręgu wojennego. Na miejsce Tuchaczewskiego wyznaczony został dotychczasowy szef sztabu armii czerwonej marszałek Jegorow. Szefem sztabu armii czerwonej mianowano generała Szaposznikowa, jednego z najwybitniejszych sowieckich teoretyków wojskowych, który był dotychczas dyrektorem wyższej szkoły wojennej w Moskwie.

Te nagłe zmiany w organizacji czerwonej armii wywołały duże poruszenie. Dla tych jednakże, którzy bacznie śledzili przebieg ostatnich wypadków w ZSRR, nie były one bynajmniej niespodzianką. Pamiętając proces Bucharina i Rykowa, przypominają sobie zapewne, że w procesie tym Radek poważnie obciążył byłego attache wojskowego w Londynie, gen. Putnę, zamieszanego, jak wiadomo, w ostatnim procesie przeciw „trockistom“. Radek naświetlił wówczas również stosunki łączące gen.

Rumuński królewicz podczas audiencji u Prezydenta R. P., którego zaprosił w imieniu króla Karola rumuńskiego do odwiedzenia Rumunii.



Putnę z marszałkiem Tuchaczewskim i chociaż, zmuszony specjalnym pytaniem prokuratora, wyłączył później marszałka Tuchaczewskiego od wszelkich posadzeń i z dotychczasowych swoich zeznań się wycofał, — to jednak pewien cień podejrzania na marszałku Tuchaczewskim pozostał.

Kierownicze organy ZSRR, podkreślające na każdym kroku, że armia czerwona stoi ponad wszystkimi zarzutami, zaprzeczały kategorycznie wszelkim pogłoskom, mogącym poddawać w wątpliwość „lojalność“ marszałka Tuchaczewskiego.

Do jakiego stopnia zamydlano oczy opinii oraz jak starano się o utrzymanie w tajemnicy zamiaru usunięcia marszałka Tuchaczewskiego z zajmowanego przezeń dotąd stanowiska, o tym najlepiej świadczy fakt, że na trzy dni przed przeniesieniem go do wojennego okręgu nadwołżańskiego „Krasnaja Zwiezda“, oficjalny organ kół wojskowych, zamieściła wielki artykuł marszałka Tuchaczewskiego o nowej taktyce piechoty.

Jednocześnie niemal w tym samym dniu, w którym ogłoszono tak zasadnicze zmiany personalne w armii, ukazał się dekret rządu o utworzeniu rad wojennych w okręgach wojskowych czerwonej armii i instytucji ludowych komisarzy wojennych armii t. zw. „Politruków“. Innymi słowy przywrócenie rad i komisarzy wojennych oznacza odrodzenie tradycji komisarzy wojennych z pierwszych lat rewolucji, względnie tradycji „Rewwojen Sowietów“, które uległy były likwidacji z chwilą utworzenia ludowego komisariatu obrony.

Co oznaczają te zmiany? Świadczą one o tym, że z jednej strony Stalin uważał za konieczne rozto-

czyć bardziej czujną kontrolę polityczną nad armią, ponieważ wojskowe organy polityczne nie wywiązywały się „naładzie“ ze swoich zadań. Z drugiej strony świadczą o tym, że rząd postanowił poddać armię czerwoną większym niż dotychczas wpływom czynników partii komunistycznej.

To dążenie do zwiększenia wpływów czynników partyjnych na czerwoną armię nabiera tym większego znaczenia, jeżeli się zważy, że Stalin przeobraża partię na ślepe narzędzie w swoich rękach. Oświadczył on niedawno: że „nie jest szkodliwe, jeżeli członek partii nie zna doktryn marksistowskich i teorii. Wystarczy, aby był szczerym wyznawcą partii“. Oznacza to, że wedle Stalina partia powinna być organizacją ludzi „wierzących na ślepo“. A jest rzeczą oczywistą, że ślepe posłuszeństwo partii jest tym większą koniecznością, im większy wpływ Stalin chce przy pomocy partii wywierać na armię.

„LITWINI Z CAŁEGO ŚWIATA WINNI PRACOWAĆ DLA LITWY“. „XX amžius“ zamieszcza sprawozdanie z narad w sprawie założenia Instytutu Litwinów zagranicznych. Prof. Pakszas m. in. oświadczył:

„Jak nie znajdzie się na świecie Żyd, któryby nie ofiarował na odbudowę Jerozolimy, tak też Litwin z całego świata, bez względu na miejsce zamieszkania, muszą pracować dla swej ojczyzny, Litwy. My na Litwę musimy patrzeć, jak Żydzi na Palestynę. Obowiązkiem narodowego instytutu Litwinów za granicą byłoby mistyczne przywiązanie Litwinów za granicą do Litwy“.

Prof. F. Kemeszis:

„Sprawa scalenia Małej i Wielkiej Litwy w normalnych warunkach jest rzeczą łatwą, trzeba jedynie pracować. Jednakże sprawa wychodźców jest trudniejsza, gdyż np. starsze pokolenie stale mówi, że po kilkudziesięciu latach Litwinów za granicą nie będzie. Jedynie młodzi nie chcą podpisać dekretu śmierci na milion wychodźców litewskich. Te ich wysiłki należy popierać. Jednym z najważniejszych zadań instytutu wychodźstwa jest podtrzymanie litewskości. Zakładnie gimnazjów kolegialnych w Ameryce i gdzie indziej należy uważać za jedno z najważniejszych. Jest to już nawet przewidziane“.

PORT GDYŃSKI pobił swoje własne rekordy. Jego kwietniowe obroty są najwyższe ze wszystkich dotychczasowych — wyniosły one 819 tys. ton, wobec 750 tys. ton w marcu r. b., 618 tys. ton w kwietniu ub. r. i 769 tys. ton w sierpniu ub. r. (rekord 1936. r.). Równoległe wzmógł się do niebotowanych granic ruch i tonaż statków morskich. przy czym bandera polska z dotychczas zajmowanego I względnie II-go miejsca zeszła w kwietniu r. b. na trzecie miejsce, ustępując pierwszeństwa banderze Szwecji i Niemiec.



Zdjęcie nasze przedstawia eskadrę 10 samolotów, uformowanych ze składek członków Związku Pracowników Skarbowych w Polsce, które to samoloty zostały przekazane wojsku.

Dział religijny

Ewangelia na trzecią niedzielę po Zielonych Świątkach

zapisana u św. Łukasza w rozdz. 15, w. 1—10.

W on czas: Zbliżali się do Jezusa celnicy i grzesznicy, aby Go słuchać. Faryzeusze zaś i uczeni szemrali, mówiąc: Ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi! Powiedział im tedy taką przypowieść, mówiąc: Któż z was, mając sto owiec, jeśli straci z nich jedną, nie zostawia na stepie dziewięćdziesięciu dziewięciu i nie idzie za tą, która zabłądziła, aż ją znajdzie. A gdy ją odnajdzie, bierze z radością na barki swe, a przyszedłszy do domu, zwołuje przyjaciół i sąsiadów, i mówi do nich: Cieszcie się ze mną, albowiem odnalazłem moją owcę zblakłą. Powiadam wam, że podobnież w niebie będzie żywsza radość z powodu jednego grzesznika pokutującego, niż z dziewięćdziesięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty. Albo — któraż niewiasta, mając dziesięć drachm, jeśli zgubi jedną drachmę, nie zapali światła i nie zamiecie domu i nie będzie szukać starannie, aż odnajdzie? A gdy znajdzie, zwołuje przyjaciółki i sąsiadki, mówiąc: Cieszcie się ze mną, albowiem odnalazłam drachmę, którą zgubiłam. Podobna radość, powiadam wam, jest wśród aniołów Bożych z powodu jednego grzesznika pokutującego.

NAUKA

Nie ma dnia, żeby gazety nie przyniosły wiadomości z zamachach samobójczych. Kronika samobójstw stała się kroniką codzienną, powracającą z przerażająco dokładną regularnością. Tymi samobójcami zaś nie są tylko ludzie, którzy, popelnivszy zbrodnię, uciekają od życia, aby ująć przed sprawiedliwością ludzką; nie są to tylko ludzie chorzy, obłąkani, którzy za czyn swój nie ponoszą odpowiedzialności; ani są to wyłącznie niechrześcijaństwo i poganizm. Zdarza się, nieste-

ty, nader często, że targa się na swe życie młodzieńiec, katolik lub dziewczyna młoda, z imienia i pochodzenia chrześcijańska.

Dużo, co prawda, przyczyn składa się na ten smutny przejaw. Rzeczywiście ciężkie czasy, brak najkonieczniejszych środków do życia z jednej strony, a z drugiej strony wychowanie bez zasad religijnych są podatnym podłożem dla tego strasznego występkę. Szczególnie zaś popycha ludzi do tego kroku ostatecznego rozpacz, zupełny zanik nadziei, brak podstawowej cnoty chrześcijańskiej, cnoty boskiej: ufności w Bogu.

Nadzieja chrześcijańska otwiera nam szerokie widnokręgi. Mówi nam ona, że stoimy stale i wszędzie pod opieką najlepszego Ojca niebieskiego. Kiedy lęk i strach nas otacza, chociaż bliska śmierć zimny pot wywołuje na czole konającej, chociaż szerzą się prześladowania lub kiedy upadamy pod ciężarem krzyża: chrześcijanin nie traci spokoju — ale podnosi wespół z Panem Jezusem cierpiącym w Ogrójcu wzrok do nieba, poddaje się woli Bożej i przyjmuje kielich gorczy z tą świadomością, że Bóg go nie opuszcza.

Socialiści i komuniści domagają się raju na ziemi, mówią, że głupią jest ta nadzieja, która każe czekać szczęścia w wieczności. I takim bluźnierczym gadaniem zabierają biednemu, zmęczonemu człowiekowi najlepszy skarb, jaki posiada: nadzieję chrześcijańską. Oni to i ich zasady, artykuły i wykłady bezbożne są winne, że tyle ludzi rzuca się z rozpaczą w ramiona śmierci i wieczne zatracenie.

Nadzieja chrześcijańska wzbrania nam rozpaczanie nawet wtedy, kiedyśmy opuścili Boga. Nie ma grzechu, któregoby Bóg nie darował pokutującemu grzesznikowi! Rozpacz jest od szatana — żal za grzechy zaś od Boga. A żal prowadzi do spokoju serca i szczęścia wewnętrznego.

Stanisław Krakowski

Kubusiowe szczęście

Nowela

W słonecznym pławiła się wieś. Wróble świergotem nieustępliwym napelniały rozgrzane do lubości powietrze. Z dróg polnych niosły się tumany kurzu, zakrywające szarą chmurą przydrożne drzewa. Czasem z tej chmury wypadł roześmiany, młody głos dorodnej dziewczuchy lub radosny pisk dziecięcy. Wieś cieszyła się z słońca i wiosny, dobrej pani, która pocałowała pierwszym złoćcia białe chaty 'drzemiacie w ciszy południa. Ludziska powyłazili przed domy gapiąc się w modrą dal. Wywarłe na ścieżaj wszystkie drzwi zapraszały najgoręcej do środka każdy promień świetlany. Radowało się wszystko, jakby gość nie byle jaki, biskup przynajmniej, do wsi w gościnę zawitał lub jakby ziemia cała najradośniejsze obchodziła święto. Dobroć szła jakaś od tego modrego nieba, od wiosennych, rozkosznych podmuchów. Dobroć ta dochodziła do każdego serca i sprawiała, że sąsiad sąsiadowi szczerze patrzył w oczy, że nawet ta oblatana kłótnica Kazimierzowa, baba, wyszczekana gorzej niż wściekły pies, przymilkła jakos i zaciechła. Czasem zdarzają się takie niezwykłości w wiosennym dniu...

W chacie soltysa Marcina Chrzana właśnie domownicy przypieili się do misiek. Słuchać było tylko krótkie, zadyżane postękiwania. Na rozmowę nikt nie miał ani czasu, ani zbytniej ochoty. Pogwarza sobie potem, w południową godzinę, tak, jak przystało ludziom uczciwym, a nie mieszcuchom - pedziwiatrom. Najlepsze miejsce zajmował, naturalnie, gospodarz. Tak też powinno zawsze być! Oczy miał Marcin Chrzan niby zapatrzone w misiek, ale wiedzieli wszyscy, że te poczciwe ślipia potrafią wszystko wydatrzeć.

— Jasku, bo pęknieś. Do miski toś pierwszyl — przerwał milczeniem ojciec.

Jasko, najmłodsza pociecha soltysowego domu, zaczerwienił się tak, że wyglądał, jak wielkemiejskie, pomalowane czupiradło.

— Ale, stary — wzięła „swoje wszystko” w obronę matka — dziecku żalujesz tej odrobiny... Chrześcijańskiemu dziecku! Napracuje to się w tej szkole, więc i podjęć sobie musi, bo raz — dwa z sił opadnie. Pamiętam, jak Bolechowy syn...

Dobrotliwy soltys głęboko westchnął, jakby Wszystkich Świętych brał na świadectwo swej niewinności. Potem zaś opuścił nisko głowę, jadł w milczeniu, bo wiedział, że wymowa jego żony, jest jak rwący potok górski, którego nie powstrzymać nie może...

Wszyscy poczeli jeść z tym większym upodobaniem, bo tak już przywykli do cieniutkiego głosiku soltysowej, że brak im było czegoś, gdy go nie słyszeli.

Potem zaś Marcin Chrzan wyniósł sobie stółek przed chatę i, szukając okularów, zaczął mruzczyć: — Baba się rozpuściła, jak myśńskie kolo. Zapomniałem ją widać porządnie walić... Chociaż inni walą, a mają jeszcze gorzej...

Tak to sobie mruzczało dobre soltysisko, sam nie wierząc w to, co mruczy. Bo cała wieś wiedziała, że zgodniejszego małżeństwa to chyba nie było. Więc też i laska Boża była z nimi i dostatek, że nie tylko swoje dzieci potrafili na dobrych Polaków wychować, ale dać także przytulek i opiekę Kubie Wiatrowi, sierocie.

Mimo, że słońce padało wprost na soltysową łysinę, nie przeszkodziło mu ono w pilnym czytaniu gazety. Dobra gazeta potrzebna była Marciniowi, jak innym tabaka. Dlatego też inni byli naprawdę jak

tabaka w rogu, soltys zaś wiedział, co po świecie chodzi.

Gdyby świat nagle przewrócił opętanego koziołka, nie wprawiliby to Marcina w tak wielkie zdumienie. Przetarł oczy, zdjął okulary, starannie przeczyszczył je kraciastą chustą, nalażył spowrotem na mądre czoło i raz jeszcze wpił się wzrokiem w tłusty druk. Dalibóg — stoi, jak byk. Czytał w radosnym pospiechu.

„Komunikat: Niewykryci dotąd sprawcy podłożyli proch pod ważne budynki państwowe w nadgranicznej miejscowości. Zniszczenie tych budynków pociągnęłoby za sobą nieprzewidziane wprost straty materialne i kosztowałyby wiele ofiar w ludziach. Na szczęście zamach w ostatniej chwili udaremniał z narażeniem życia żołnierz — Jakób Wiatr. Przechwycił on ponadto dwóch ważnych szpiegów, którzy już mieli przejść granicę, uwożąc szereg cennych tajemnic wojskowych. Dowództwo straży granicznej mianowało dzielnego żołnierzyka kapralem, rząd zaś wyznaczył mu nagrodę w wysokości 2000 zł. Dzielny żołnierz wyjeżdża do wioski rodzinnej na zasłużony urlop.”

Za chwilę wrzawa napelniła soltysową chatę. Pulchnej soltysinie nie zamykała się gęba ani na sekundę. Marcin Chrzan surowo jednak przykazał nie wynosić nowiny poza dom. Tak przytem złowrogo błysnęła oczami, że sama soltysina porzysięgła pierwiej język sobie na równo połowy rozgryźć, nim parę z ust puści. Juści mężowa wola w takich rzach święta. Nawet parobkom i dziewczuchom domowym zakazał powiadać.

Tymczasem Marcin Chrzan wielkimi krokami zdążył do swego sąsiada Macieja. Maciej był to chłop bogaty, ale nie zawsze bogactwem zdobywa się serca

ludzkie. Ludzie mówili, że na wątrobę choruje, stąd w nim zbierało się podobno tyle goryczy i zaciętości. Od lat już owadniał, a gospodarstwo prowadziła mu jakaś stara ciotka, dobra, jak cukier, kobieta. Lata wprawdzie wysuszyły jej siły, ale w pracy pomagała jej nienajgorzej córka Macieja, śliczna Marysia. Za jej jasnymi warkoczami przepadała cała wieś, a przynajmniej jej męska połowa. Za jej uśmiech oddałby niejedną wiele. Najszlachetniejsze jednak miała oczy. Takie jakieś lazurowe, dalekie, przeczyste.

— Dziewucha, jak rzepa — mówił zwykle o niej stary sołtys do żony. — Szczęśliwy ten będzie, co ją dostanie. Żebym tak był młodszy...

— O, starem u łbie kielbie — krzyczała wtedy na głos sołtysina. — Do spowiedzi św. lepiej idź, bo cię czart opętał.

Na Marysię zaś od wiecznie milczącego ojca szedł wielki smutek.

Ojciec nie był zły, nawet ją kochał po swojemu. Ale był ponury jak noc i jak noc milczał. Od śmierci żony posmutniał i zgorzkniał. Czasem tak się dzieje. Od tego zaś dnia, w którym domyślił się wszystkiego, zamilkł jeszcze gwałtowniej. Niekiedy tylko, gdy był sam, mrucał do siebie:

— Niedoczekanie jego... Taki chłystek...

To też wejście sołtysa było jak wtargnięcie promyka słonecznego w ciemną próżnię.

Starzy pogadywali spokojnie o pogodzie, o żniwach niedalekich, tak, jak zwyczaj każe, kiedy gospodarz do gospodarza zajdzie w odwiedziny.

Kiedy zaś na chwilę sołtys został sam, zbliżył się do Marysi i cicho szepnął:

— Ady dziewucho, nie trap się. Będzie wszystko dobrze, że ani się spodziewasz. Lada dzień przyjdzie.

Jakoż przyjechał kapral Jakób Wiatr już nazajutrz. O świecie. Nikt go we wsi nie spostrzegł. Mundur miał nowy, do figury, i taki jakiś świąteczny. Na szerokiej piersi widniał złoty medal. Wojskowe odznaczenie! Zdrowie z niego aż biło. Jasny wzrok patrzył tak jakoś wyraźnie, że powiedziałbyś: dziedzic patrzy. Kiedy jednak wszedł go chaty, opadła z niego ta cała żołnierska młodzieńcza, a został tylko dobry chłopak, ze chęcią całujący sołtysinę w rękę.

— Opiekuni moi najlepsi — mówił chłopak. — Stęskniłem się do was.

Nie wytrzymała sołtysina i beknęła sobie za wszystkie czasy.

Kiedy zaś poopowiadali sobie wszystko dokumentnie i cisza odpoczywająca zaświlała na chwilę w powietrzu, bohaterski żołnierz stęknął tak jakoś rozpaczliwie, że sołtys zapytał:

— Co ci to? Buty cię gniotą?

— Ale, buty! A to chciałem...

— Coś chciał?

— Chciałem zapytać co... Marysia.

— Głodnemu chleb na myśli — zaśmiała się sołtysowa.

— Ano zobaczmy. Dziś Maciej do nas przychodzi, bom go wczoraj zaprosił. Może coś się da zrobić.

Maciej wszedł nieufnie. Podejrzliwie rozglądał się po izbie. Nie lubił gościnnego gwaru ani bezcelowych odwiedzin. Do starego sąsiada przyszedł wyjątkowo. Zaciekawilo go, czemu tak gorliwie go sołtys prosił. Wiele czasu minęło i wiele różności zjedli zanim sołtys żonę z izby wyprowadził. Zwrócił się potem nagle do Macieja i bez ogródek napadł:

— A to, sąsiedzie, chciałbym tak z wami pogwarzyć o waszej Marysi i o moim Kubie.

Maciej gwałtownie wstał i sięgnął po kapelusz.

W tej samej chwili zadygotało serce w dzielnym żołnierzu, który pilnie podsluchiwał pod drzwiami. Nie mógł, nie chciał już dłużej słuchać. Zrobiło mu się zimno i gorąco równocześnie i dojrzał tylko, jak sołtys gwałtem ciągnie Macieja na ławę. Cofał się żołnierz najpierw powoli potem wziął nogi za pas i uciekał przez wieś. Ludzie teraz dopiero go spostrzegli, więc też przystawali zdumieni niepomiernie. On zaś zatrzymał się dopiero przed chatą Maciejową. Przyglądał mundur, następnie zapukał i wszedł:

— Kuba!

— Maryś!

Patrzyli na siebie, jakby zobaczyli się po raz pierwszy.

— Kiedys przyjechał? Wyjdz! Ojciec może przyjść.

— Opowiem ci wszystko jutro. Ojciec zaś nie przyjdzie, bo jest u sołtysa. O nas radzą.

— Jezusie!

— Maryś — nasze losy się teraz ważą. Twój ojciec jest na mnie zawzięty, zem to niby, sierota, bez grosza. Gdzie tam mi do gospodarskiej córki. A wiesz, że twój ojciec, jak się uprze, to...

— Bóg mocniejszy — przerwała Marysia.

— I co będzie? — rzekł Kuba.

— Idź spokojnie do domu. Będę się modliła.

Żołnierz desperacko nacisnął rogatywkę na głowę i powłókł się do domu.

Przystawać jednak ciągle musiał, bo obległa go wieś masą ciekawych pytań. Opowiadał o urlopie, o życiu wojskowym, o sobie. O wielkim wszakże swoim czynie nie wspominał ani słowem. Był na to za skromny. Dopiero jakaś sąsiadka ludzka zlitowała się nad nim i rzekła: —

Ciekawostki staropolskie

O ŚWINIARCZYKU, CO ZOSTAŁ REKTOREM UNIwersYTETU. Ubogiej rodzinie włościańskiej w Wadowicach urodził się synek, któremu nadano na chrzcie imię Marcina. Jednak nie był przez rodziców rozpieszczany, bo nie mieli na to czasu, ciężką pracą zarabiając na utrzymanie. Mały Marcin chował się własnym przemysłem, a gdy nieco podrośł, wyręczano się nim w lepszych robotach.

Stałym zaś jego zajęciem było pasanie wieprzaków, hodowanych przez rodziców. Marcin wypędzał więc wieprzaki na pastwisko lub do lasu na żołądzie, układał się gdzieś pod drzewem i dumał. Różne dumki przemknęły przez dziecęcą głowę. Wszystko go interesowało, wszystkiego chciałby się dowiedzieć a tu nie ma od kogo, bo rodzice ani wytłumaczyć nie umieli, ani czasu nie mają na pogawędki z jedynakiem. A świniarzykowi różności zaprzątają głowę, coś go ciągnie w świat szeroki, by jak najwięcej poznać i jak najwięcej dowiedzieć się o wszystkim. Przy tych rozmyślniach nie raz mu wieprzaki na lesie się rozbiegły, że je długo zwoływać musiał.

Aż pewnego razu stało się nieszczęście i wilk porwał dobrze już odhodowanego wieprzaka. Cóż za strata dla rodziców, co to już liczyl na spory dochód ze sprzedaży! Ojciec na pewno nie puścił tego płazem. Przeróżne myśli tłuka się w głowie dziecka: co robić? I nagle zapada decyzja: nie wrócić już do domu, pójdę w świat! A miał Marcin coś ponad dziesięć lat. W sam raz dosyć, by się bać ojcowej chłosty, a jakże mało na taką decyzję! Ale Marcin miał charakter: co postanowił, tego dokonał. Zagnął wieczorem pozostałe wieprzaki do chlewu, spojrzął na ojcowską zagrodę, przeżegnał się krzyżem świętym i ruszył w nieznaną. Nawet kromki chleba nie miał przy sobie.

Aby puścić go już ludzie, bo swoi go czekają.

Na niego zaś już czekali naprawdę. Surowe oczy Macieja zlagodniały, kiedy spojrzął na czupryną żołnierską pokornie schyloną nad swoją ręką.

Potem stała się rzecz jeszcze dziwniejsza. Surowy Maciej poglądził chłopaka po twarzy i rzekł:

— Myślałem, żeś chłystek, a tu dowiaduję się, że honor masz, że zadowoleni są z ciebie, że stałeś się dumą wsi. W gazetach podobno o tobie piszą. Po chwili zaś, ciszej nieco dodał: — Pamiętają być dla niej dobrym. Bo to po nieboszczce jedyny skarb, który mi na świecie pozostał.

— Ale, sąsiedzie — odezwała się figlarnie sołtysowa — pieniędzy przecież huk mają.

— Nie na pieniądze ja patrzę — odrzekł Maciej — lecz na człowiecze serce. Pieniądz dziś jest, jutro go nie ma. Dobroć zaś jest wieczna. Dlatego zaś marnotniałem, bo widzę, że jest jej coraz mniej na świecie. Kłopotalem się o los Marysi, gdy mnie już nie stanie. Teraz jestem spokojniejszy. Nieboszczka pewno do Boga za nią się modli.

Wieczór już nadszedł pachnący pierwszym kwiecikiem. Wieś jednak nie usypiała. Nowina o czynie Kubowym, o szczęściu młodych zaleciała już we wszystkie opłotki. Kubuś Wiatr, sierota biedny, stał się odrazu ulubieńcem wszystkich. Bo to i honor wsi wyniósł wysoko i zaślinał po świecie.

To też radowali się ludziska. Najwięcej wszelako radował się Kubuś Wiatr. W dłoniach czuł małą rączkę Marysi, więc co mu tam znaczą wszystkie nieszczęścia!

— Kubuś — westchnęła Marysia — jakie będzie nasze przyszłe życie?

Wtedy żołnierz nadął dumnie pierś, chcąc okazać, że niczego się nie lęka, i głosem dziwnie miękkim, odrzekł:

— Szczęśliwe, Maryś, szczęśliwe...

Obrotny i zdecydowany na wszystko chłopak, dotarł wreszcie do Krakowa. I tu, tak jak po drodze, znaleźli się dobrzy ludzie, co mu pomocną podali dłoń. Oceniono bystrość chłopaka, umożliwiono mu naukę. Teraz dopiero ujrzał Marcinek przed sobą drogę, ku której tak się wyrwał, której tak pragnął. Nauczycieli swych zdumiewał zapałem, bystrością, pojętnością i zdolnościami. Na utrzymanie zarabiał posługami, nie wstydząc się żadnej pracy. Po latach dostał się do Akademii i tu też wyróżniał się zdolnościami, szybko zdobył stopnie akademickie, lecz tego mu było za mało. Wyruszył więc na dalsze studia za granicę. Dotarł do Rzymu i tu zdobył stopień doktora teologii. Powróciwszy do kraju, zostaje profesorem Akademii krakowskiej, a potem jej rektorem. Cóż za imponująca kariera świniarzyka, o którego losie zdecydował wilk, porwijąc wieprzaka! Sława cnota i wiedzy Marcina, co od swej rodzinnej miejscowości przybrał miano Wadowity, rozeszła się szeroko po świecie. Po trzykroć wzywano go do Rzymu, gdzie brał udział w dysputach teologicznych, wystąpieniami swymi zjednywując szacunek najwyższych dostojników z papieżem Sykstusem V-m na czele. Ten papież szczególnie sobie upodobał Wadowitę, gdyż i sam w dzieciństwie też ciężką pracą przebił się przez życie, a doszedłszy do najwyższej godności pomocną dłoń zawsze podawał garzącym się do światła wiedzy. Nieraz też Sykstus V-ty proponował Wadowicie pozostanie w Rzymie, lecz ten wolał w kraju pracować i uczyć. Jakoż był profesorem krakowskiej Akademii przez całe 50 lat, będąc tyleż światłym uczniem, co i znakomitym wychowawcą. Przez długie lata był też proboszczem kościoła św. Floriana na Kleparzu w Krakowie, a pod koniec życia plebanem w Opatowcu. Umarł w 1641 roku.

Org. Stosunek przed staro...

Irena Zawilska

Bolesław Prus — wielki nauczyciel narodu

Z okazji 25-letniej rocznicy zgonu



Bolesław Prus

„Prus, to przepysny konar z samego pnia polskości”, wyraziła się kiedyś Polska Akademia Literatury. W zdaniu tym zawarta jest ocena wspaniałego dorobku bogatej twórczości Bolesława Prusa (pseudonim Aleksandra Głowackiego). Twórczość to tym cenniejsza, że zamyka w swych ramach zagadnienia ogólnoludzkiej doniosłości, które i dziś mogą być odbiciem ludzkich myśli i dążeń.

Pracę literacką rozpoczął Prus od artykułów publicystycznych. Już w pierwszych tych pracach przebiega się troska o społeczeństwo. W ciągu całej 40-letniej swej działalności publicystycznej, wskazywał mu proste i jasne drogi pracy. I czy jako redaktor „Nowin”, z których chciał zrobić „obserwatorium społecznych faktów”, czy jako współpracownik „Kurieru Warszawskiego”, gdzie zamieszczał swe słynne „Kroniki tygodniowe”, czy wreszcie „Tygodnika Ilustrowanego” i innych czasopiśmie — zawsze zajmował stanowisko badawcze i naukowe wobec zjawisk społecznych. Obserwując zaś fakty, wyciągał z nich wnioski i wskazania, przedstawiał więc społeczeństwu rzeczywisty stan rzeczy.

Już we wczesnych artykułach publicystycznych Prusa zaznaczył się wyraźnie talent literacki, zainteresowanie światem otaczającym, zmysł obserwacji, umiejętność utrwalania rysów charakterystycznych w sposób często humorystyczny. Wiele więc myśli i uczuć wyrażonych w artykułach odnajdziemy w jego nowelach i powieściach. W każdym z utworów, poczynając od popularnej „Przygody Stasia” aż do obszerniejszej noweli „Anielka”, znakomicie jest przedstawiona psychologia dziecka. W rzetelny i tkliwy sposób kreśli Prus obraz duszy dziecięcej, zdradzając się tym samym ze swą wrodzoną dobrocią.

Odrębny charakter mają utwory, poświęcone ludowi. W jednej ze swych nowel porównał Prus duszę ludu do ognia pod granitem, który to ogień należy rozdmuchać, by przyniósł jakiś pożytek. Najpiękniejszy typ chłopca mamy w „Placówce”. Nikt przedtem tak głęboko nie wnikał w sferę ludu, by tak dokładnie przedstawić chłopca wraz z jego odrębną umysłowością i duszą. Ten chłopiec ciemny ożywiony jest wielkim uczuciem miłości ziemi. Na słowa Niemców, skierowane do niego: „Słuchaj, chcemy grunt twój kupić”, ogląda się za siebie i pyta zdziwiony: „Grunt? grunt? a cóż wy, panowie, macie za prawo kupować mój grunt? — Ja za pieniądze nie sprzedam. To przecie moja ziemia”. Tak więc kawał ziemi ojcowiskiej, dzięki nieugiętej sile oporu chłopca, pozostaje w rękach polskich. Sprawilo to potężne uczucie, które z biernego chłopca uczyniło bohatera.

Prus nie poprzestał na tym utworze. Jego niepopolity umysł i zdolność obserwacji kazały mu przedstawić pełny obraz życia współczesnego. W 1887 r. drukuje jedną z najznakomitszych powieści polskich — „Lalkę”. Główną myślą autora było wykazanie, że największym złem w naszym życiu jest rozbitcie społeczeństwa na cząstki oddzielne, przetrzęsanie jednych części, a niedoceniecie drugich. „Lalka” stała się dziełem epokowym w rozwoju powieści polskiej tak przez szereg zagadnień jak i przez wszechstronny obraz swojego okresu. Dalsza powieść — „Emancypantki” — stoi znacznie niżej od „Lalki”. Tu, poruszając kwestię emancypacji kobiet, kreśli Prus z niezmierną subtelnością uczucia niewieście, dając ideał kobiecy i własne pojmowanie jej roli w społeczeństwie. Wreszcie na miarę powieści historycznej zachodniej Europy jest „Faraon”, gdzie Prus porusza problemy ogólnoludzkie, dotyczące życia społecznego i państwowego, stosunku warstw rządzących do podwładnych i roli jednostki w życiu narodu.

Artykuły, nowele i powieści Prusa nosiły jedną wspólną cechę — cechę współczesności. Każdy w nich znajdzie coś dla siebie: i dziecko i człowiek inteligentny i człowiek z ludu. A wszystko co Prus pisze, pisze z myślą, że na pierwszym miejscu należy stawiać pożytek i szczęście całości. Widział Prus przy tym wszystkie ciemne strony życia współczesnego, lecz wierzył, że można wydobyc z społeczeństwa wartości trwałe, których odrzucić nie wolno. Dlatego prawdy przez niego poruszane kryją w sobie głębokie uczucia humanitarne. Prus gorącym swym sercem ogarniał polskość i ludzkość.

Prace swe pisał Prus jedynie w tym celu, by naprawić, przekształcać, prostować i urczyć. A gdzie ton moralizatorski nie pomógł, tam skuteczny

okazał się — humor, oślaczający karty jego dzieł. Dlatego dzieła te interesują i pouczają nawet najbardziej apatycznego człowieka.

Jako wielki nauczyciel narodu, który z całą wolą i świadomością stał na straży szczęścia ludzkiego, wskazując najlepsze drogi pracy — posiadał Prus silny wpływ na społeczeństwo. Toteż musiał w końcu wszyscy ocenić jego twórczość, czego

W. O.

Prus w anegdocie

Upiływająca w dniu 19. maja b. r. 25-ta rocznica zgonu Bolesława Prusa, skłania do przypomnienia tych żywych i wyraźnych śladów, jakie wielki pisarz pozostawił w ustnej bądź kronikarskiej tradycji.

Najbardziej podstawową cechą duchowej istoty Prusa była jego czułość w stosunku do wszystkiego, co żyje, nadmierna niekiedy wrażliwość i dobroć serca, genialna zdolność współczucia z otoczeniem, wzruszająca się nie tylko zresztą życiem i przede wszystkim cierpieniem człowieka, ale i równie intensywnie przeżywająca biedę „młodszych braci”, ludzi, wszelkiego stworzenia ziemskiego. Przechowało się dotąd w ustnej tradycji opowiadanie Stefana Zeromskiego, który, wiele razy spotykając się z Prusem w Nałęczowie i wspólnie z nim tamże przeżywając chwile wypoczynku, był kiedyś świadkiem następującej sceny: dziewczyna wiejska, żniwiarka, sierpem przetrąciła małego zajączka, na którego niechęć matkąnęła się w łanie żyta. Prus, który przyglądał się żniwu, dostrzegłszy, co zaszło, usiadł nad martwym ciałkiem zwierzątka i rzewnie z żalu zapłakał. Ta bolesna litość pisarza, to nie tylko produkt wysokiej kultury uczuć, ale jakby fizyczny mus takiego a nie innego reagowania na pewne podniety z zetknięcia ze światem rzeczywistym płynące.

Pamiętamy, gdy Wokulski „Raz, w marcu, przechodząc aleją Jerozolimską, zobaczył tłum ludzi, czarny wóz węglarski, stojący w poprzek drogi pod bramą, a o parę kroków dalej wyprężonego konia — Co się stało?

— Koń złamał nogę — odparł wesoło jeden z przechodniów, który miał fiołkowy szalik na szyi i trzymał ręce w kieszeniach. Wokulski mimochodem spojrzął na delikwenta. Chudy koń, z wytartymi bokami, stał przywiązany do młodego drzewka, unosząc w górę tylną nogę. Stał cicho, patrzył wywróconym okiem na Wokulskiego i gryzł z bólu gałązkę okrytą szronem... Ale teraz przybył mu jakby nowy zmysł... I nie tylko obchodzili go ludzie. Czuł zmęczenie koni, ciągnących ciężkie wozy, i ból ich karków, tartych do krwi przez chomątą. Czuł obawę psa, który szczekał na ulicy, zgubiwszy pana, i rozpacz chudej suki, z obwisłymi wymionami, która na-

wyrazem jest hołd złożony w imieniu społeczeństwa przez Ignacego Balińskiego, za którym i my dziś powtarzamy:

„składamy ci dzięki,
żeś sztandar myśli dźmierzył dłonią chlubną,
żeś głowy swojej nie szczędził ni ręki
w walce o prawdę i dobro”...

Irena Zawilska

Leon Wróblewski

W rodzinnych stronach

(Korespondencja własna)

Okrzeja, w maju 1937 r.

Niedaleko Dębina, gdzie się szkołą polscy rycerze przestworzy — podchorążowie lotnictwa — leży niewielka wioseczka — Okrzeja.

Tu właśnie, na podlaskiej ziemi, zroszonej męczeńską krwią unitów, zrodził się jeden z największych koryfeuszów słowa polskiego — Henryk Sienkiewicz. Ten, który według słów premiera gen. Sławoj-Składkowskiego „potęgą swego talentu wskrzesił w duszach Polaków tęsknotę za własnym wojskiem w Niepodległej Ojczyźnie”.

Na okrzejskim cmentarzu znajduje się grób matki pisarza, Stefani z Cieciszowskich Sienkiewiczów, wej, niedaleko wsi w folwarku Wola Okrzejska zachował się jeszcze domek, w którym przyszedł na świat i dziecięce spędził lata twórca „Trylogii” i „Quo Vadis”.

Jak silnie kultem Sienkiewicza przejęta jest

próżno biegła od ryszotki do ryszotki, szukając strawy dla siebie i szczeniąt. I jeszcze, na domiar cierpienia, bolaly go drzewa obdarte z kory, bruki podobne do powybijanych zębów, wilgoć na ścianach, połamane sprzęty i podarta odzież. Zdawało mu się, że każda taka rzecz jest chora, albo zraniona, że skarży się: „patrz, jak ja cierpię...” i że tylko on słyszy i rozumie jej skargi. A ta szczególna zdolność odczuwania cudzego bólu urodziła się w nim dopiero dziś, przed godziną”. (Lalka, I, 91).

Prus — artysta zwyciężył Głowackiego, pisarza — dydaktyka, występującego początkowo pod swym właściwym nazwiskiem, a pod pseudonimem ukrywającego wysokiego fantazji, wybuchy szczerej poezji, której szczery pozytywista wyprysnął się przecięć i potępił przy pomocy rozumu, jako bezwartościową, nie procentującą w obrachunku społecznym. Naród ukochał właśnie Prusa, drugą naturę pisarza poczytywał za bardziej reprezentatywną dla tego zjawiska, jakim stała się twórczość publicystyczna i powieściowa autora „Kronik tygodniowych” w „Tygodniku Ilustrowanym” oraz „Lalki”. Dlatego po redakcjach (jak np. w „Kurierze Warsz.”) wymagano wprost od pisarza podpisywania pseudonimem, a nie nazwiskiem, które nie właściwie społeczeństwu nie mówiło. Do tego stopnia, że gdy Prus, będąc raz w Krakowie, zaszedł do redakcji „Nowej Reformy”, chcąc pogadać z ludźmi, nawiązać jakiś kontakt z krakowskim światem umysłowym i literackim, i kazał się zameldować redaktorowi Michałowi Konopińskiemu, ten, trzymając w ręku bilet wizytowy niepozornego interesanta, zapytał ze zdziwieniem, zupełnie nie poznając Prusa: — Czym mogę panu służyć? — Właściwie niczym — odpowiedział zmieszany pisarz, poczem, nie żegnając się, jaknajprędzej opuścił niefortunna redakcję.

Dziennikarstwo stało się drugim żywiołem genialnego pisarza, przyczyniając się nieraz w swoisty, niepozabawiony komizmu sposób, do oceny jego stanowiska w literaturze przez t. zw. publiczność. Miano go, zwłaszcza z początku, jak pisze w swym „Zarysie społeczno-literackim” Ludwik Włodęk, niejednokrotnie za „wesołego, popularnego kronikarza, zdolnego, ale nieco dziwnego autora, którego można i należy lekko traktować”. „Pewien



Kopiec Henryka Sienkiewicza w Okrzei w obecnym stanie

Twórcy „Trylogii“

miejsca ludność, jaką troską otacza pamięć wielkiego pisarza i społecznika, dowodem tego — sypany w Okrzei kopiec ku czci jego, górujący nad wioską na okrzejskich równinach. Kopiec — myśl budowy którego rzucił swego czasu do młodzieży całej Polski biskup podlaski, dr. H. Przeździecki — realizuje obecnie z wielką dozą energii i poświęcenia miejscowy proboszcz — ks. dr. Kresa.

Już niewiele brak do całkowitego wykończenia kopca, praca posuwa się szybko naprzód, z całego kraju zjeżdżają wycieczki szkolne, zwożąc ziemię ze swych stron i pomagając w sypaniu pomnikowego dzieła.

8. września b. r. nastąpi uroczyste poświęcenie kopca z licznym udziałem władz państwowych i duchownych.

Zaznaczyć należy, iż w sypaniu kopca pewien udział wzięła i Polonia Zagraniczna. Zwłaszcza ro-

bardzo poważną jego rolę, zajmujący bardzo poważne stanowisko, mówił w towarzystwie: — Ale ten Prus, to wesoły kpiarz, panie tego, wcale trafnie pisał. Nie mówiąc już o tym, że, jak sam zaznaczał, wiele razy przono go, aby na czele „Kronik“ (pisanych bez cienia fałszywej pruderii) była zawsze adnotacja, czy panny mogą je czytać, czy nie.

Najmniej posiadamy autentycznego materiału z wczesnej młodości Prusa, choćby np. o jego udziale w ruchu 63 r.

Jednak i tutaj sięgnąć możemy do wspomnień (z r. 1864) d-ra Gustawa Dolińskiego, kolegi szkolnego Al. Głowackiego z liceum w Lublinie. Pisze dr. Doliński, że postanowili kiedyś obydwa, dla mocnych wrażeń, pójść w nocy na cmentarz, „ma się rozumieć nie razem, ale każdy z osobna“, i „na świadectwo bytności“ zostawić swoje podpisy na ścianie świeżo wzniesionego grobu.

Skutek był taki, że obydwu figlarzy zaaresztowano... za profanację grobu, gdyż znaleziono powyższe podpisy coś więcej, „Ktoś bowiem popisał różne facecje na grobach. Na ścianie grobu znaleziono nazwiska nasze — są przeto winowajcy. Dzięki interwencji władzy szkolnej i słusznemu zresztą tłumaczeniu naszemu, żeśmy po nocy licznymi napisów różnokolorowymi ołówkami sztychować nie mogli, skończyło się na groźnym upomnieniu słowem — bez innych dotkliwych upominków“.

Oto atmosfera młodości autora „Grzechów dzieciństwa“ i „Omyłki“, ucznia klas wyższych szkoły inbelskiej, tak charakteryzowana przez współuczniarza Prusa, Juliana Ochorowicza, który „znalazł się niespodzianie pośród bandy zawadiaków, usiłujących świat przewrócić do góry nogami; przynajmniej o tyle, o ile na to pozwalał dość surowy regulamin i dość miękki jego wykonawca, sędziwy filolog Zochowski, ówczesny rektor miejscowego Liceum. Przywódcą tej bandy młodych zawadiaków był Aleksander Głowacki... Czy ich kto dynamitem wykarmił, czy jakieś dziwnie gorące promienie zbiegały się w tym starym trybunalskim grodzie, dość, że nie umiałbym określić jednym trafnym wyrazem tego, co się tam działo. A co się tam nie działo!...“ (Wspomnienia).

Sam Prus wreszcie tak się w r. 1890 o swych kolegach (a więc i własnej młodości) odzywa: „Chłopcy ówczesni, były to lwie szczenięta, dzieci rasy wojennej i barbarzyńskiej, w których szkoła z pomocą żelaznej karności przerabiała potężny zapas sił muskularnych na pracę umysłową — cywilizowała ich“.

dacy z Ameryki żywo interesują się tą sprawą i w miarę możliwości zasilają szczupłe, jak dotąd, zasoby kasowe komitetu budowy kopca.

Związek Narodowy Polski z Chicago na wniosek wiceprezesa Hibnera uchwalił, aby wycieczka Związku, która wyjedzie do Polski dnia 24. czerwca b. r. zabrała ze sobą ziemię spod pomnika Kościuszki w parku Humboldta oraz z innych miejsc pamiątkowych w celu złożenia jej na kopcu Sienkiewicza w Okrzei.

Na koszty sypania kopca Związek Narodowy Polski wyasygnował poza tym 100 dolarów. Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w Stanach Zjednoczonych zadeklarowało również poparcie pięknie realizowanej myśli uczczenia wielkiego pisarza, szereg zaś osób prywatnych z Ameryki nadał mniejsze lub większe kwoty.

Przyjemnie podzielić się tego rodzaju wiadomościami z całą Polonią Zagraniczną, dla której przecież Sienkiewicz pozostanie zawsze jej największym piewcą w swych przeducownych nowelach: „Latarnik“ i „Za chlebem“.

W ciągu 4-ch lat w sypaniu kopca wzięło udział około 120 wycieczek, w tym ponad 55 szkolnych. Kopiec buduje się według wzoru kopca Adama Mickiewicza w Nowogrodku. Posiada on kształt stożka, ściętego pod kątem 40 stopni. Podstawa dolna kopca posiada średnicę długości 40 m, średnica podstawy górnej wynosić będzie 4,2 m. Objętość ziemi, potrzebna do usypania kopca — pomnika, wynosić będzie 5.800 m sześciennych.

Już z odległości 10—12 km kopiec będzie widoczny, górując nad równiną ziemią podlaską.

W 1928 roku rozpoczęto w Okrzei budowę szkoły — pomnika im. Henryka Sienkiewicza. Wprawdzie nieukończona jest jeszcze górna piętroska, ale kto zwiędza tę szkołę, wychodzi oczarowany.

Gdyby każda wieś polska miała taką szkołę, jak Okrzeja — to do realizacji wymarzonej przez Stefana Żeromskiego „szklanych domów“ mielibyśmy niedaleką drogę. Czystość, ład, porządek, szerokie, widne korytarze, wygodna sale wykładowe, doskonale usystematyzowane pomoce naukowe, stawiają okrzejską szkołę jako wzór dobrze i po europejsku prowadzonego zakładu naukowego elementarnego typu.

I jeśli leaderzy życia okrzejskiego, jako cel swej pracy społecznej wytknęli dorównanie słynnej w Polsce wsi Lisków — nie będzie to z ich strony megalomania. To, czego już dokonano, jest drobnym, ale przemyślanym i wymierzonym krokiem na tej drodze.

Oby duch wielkiego pisarza i gorącego patrioty, syna okrzejskiej ziemi — Henryka Sienkiewicza — patronował zbożnej pracy Jego współpracowników.

Leon Wróblewski

Dom w Okrzei, w którym urodził się Henryk Sienkiewicz



Reflektorem po świecie

ZŁOTO LEŻY NA ULICY.. Ulice wybrukowane złotem i drogimi kamieniami istnieją nie tylko w bajkach wschodnich. Naprawdę nie było ich w czasach Haruna al Raszyda, ani w miastach starożytnego wschodu. Mamy je natomiast teraz, w naszych nowożytnych miastach.

W Kalifornii istnieje kilka szos, których nawierzchnia zawiera drobinki złota. Stawą cieszy się t. zw. „Błękitna Szosa“, której powierzchnia mieni się błękitnawym blaskiem, który pochodzi z odłamków diamentów, tkwiących w asfalcie. W Ekaterynburgu, na Uralu, gdzie wymordowano rodzinę carską, brukowano ulice kamieniami, zawierającymi spore ułamki topazów, malachitu, jaspisu, berylu i innych drogich kamieni. Wiedzano o tym, ale bogactwa kopalni uralskich były tak wielkie, że, z właściwą Rosjanom rozrzutnością, niedbano o jakieś tam „resztki“ i brukowano nimi ulice.

Najosobliwszy rodzaj bruku posiadają ulice miasta Montrey w Kalifornii. Wyłożono je mianowicie masą z kości wielorybich, należycie uprasowaną, zmieszaną z asfaltem i smołą. W krajach obfitujących w rozmaite surowce używa się do pokrywania jezdni najrozmaitszych rodzajów odpadków. W Indiach np., gdzie rozpowszechniona jest fabrykacja cukru, używa się dość często do wykładania jezdni melasy, produktu ubocznego, który w Europie służy jako pasza dla bydła. Melasę wiąże się oczywiście z różnymi materiałami, jak asfalt, beton, smoła.

W Stanach południowych czyni się próby z wykładaniem jezdni prasowaną jutą, bawełną. W Australii i Szkocji użyto kauczuku i gumy, układając je jako cienką warstwę pośrednią między fundamentem a nawierzchnią asfaltową czy betonową. Dla umocnienia podłoża nawierzchni ulic używano w Stanach Zjednoczonych bloków szklanych, wyprodukowanych z prasowanych, starych butelek, w Niemczech zaś, przed kilku laty, płyt metalowych z prasowanych pudełek i blaszanek po konserwach.

Nie ma więc nic paradoksalnego w powiedzeniu, że pieniądze leżą na ulicy...

KOLOR OCZU I DŁUGOWIECZNOŚĆ

Lekarz jednego z towarzystw asekuracyjnych w Pradze ogłosił broszurę, w której wykazał, iż ludzie o ciemnych oczach żyją krócej od niebieskookich, iż osiągają najwyżej 55 lat. Stąd wyprowadził on wniosek, iż towarzystwa ubezpieczeniowe winny jeśli chodzi o ubezpieczenia na życie, unikać klientów o ciemnych oczach.

Oryginalne poglądy owego lekarza wywołały duże wrażenie w kołach zainteresowanych, ale spotkały się wkrótce z miarodajnym sprzeciwem ze strony lekarza berlińskiego dr. Gutzeita, który zbija hipotezę swego kolegi praskiego, opierając się na własnych obserwacjach.

Otóż, jak twierdzi dr. Gutzeit, spośród 549 pacjentów, których miał w swojej opiece, 338 miało jasne oczy, 180 — ciemne. Przy podziale na grupy według wieku, okazało się, iż w grupach pacjentów od 41 do 60 lat i powyżej 60, stosunek ciemnokoch i jasnokoch był prawie jednakowy. W liczbie zaś 5 pacjentów, liczących ponad 70 lat, dwaj mieli jasne oczy, a trzech — ciemne.

Zatem hipoteza o wpływie zabarwienia oczu na długowieczność nie ma żadnych podstaw, co też zostało przyjęte z westchnieniem ulgi przede wszystkim przez ciemnokoch.



Z lewej: wiceminister Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii lord Plymouth odwiedzający obecnie państwa Bałtyckie, przybył do Helsingforsu. Na zdjęciu z niego: wielki mąż stanu (z lewej) w towarzystwie ministra spraw zagranicznych Finlandii Holsti'ego na dworcu w Helsinkach.

W środku: znakomity prof. Pikkard obserwuje katastrofę swego balonu stratosferycznego (obok z lewej), na którym miał odbyć swój kolejny lot podniebny. Balon spalił się na lotnisku w Brukseli tuż przed startem.

Z prawej: fragment ogólnoswiatowej wystawy w Paryżu.



Witold Zechenter

Z cyklu „Polacy w Paryżu“

Czarna Remońka

— Antek — to jednak wściekle głupi chłop... Wierzy jej...
 Stefan Kurzawa popił wina.
 — To i dobrze: szczęśliwi są...
 — Czy on naprawdę nic o niej nie wie? — spytał Jan Czołga.
 — No, chyba! Inaczej nie żyłoby ze sobą, jak te dwa ptaszki!
 — Oby się nigdy nie dowiedział! — westchnął Czołga.
 Smutnie pokiwiał głową Kurzawa.
 — To trudniej... Wiesz przecie, że Czarną Remońkę zna cała dzielnica i że nie brak wśród naszych takich drani, jak Robek, czy podobni do niego... Prędzej czy później dowie się — już się znajdują tacy, co mu zniszczą szczęście, a może i życie...
 — Tak ją kocha?
 — Jak wściekły...
 — A ona?
 — Gdybyś ty ją widział! Odmieniona! Nie poznałbyś!
 — To śliczna dziewczyna...
 — Jeszcze piękniejsza niż była — i jaka inna!... inna zupełnie... I jak go kocha! Mówię ci — tylko oczy w niego wlepione trzyma — świata poza nim nie widzi. Miło u nich — czysto — wesoło — no, co tu dużo gadać — szczęście jest tam, bracie, szczęście i kwita!
 — Zachodzisz do nich?
 — Często. Wiesz, że już dawno, jeszcze we wsi z Antkiem zawsze się przy-

jaźniłem — sprowadziłem go tu przecież... Żyjemy stale dobrze... U niego miło siedzieć — mnie to nic nie szkodzi, że ona przedtem była inna... Teraz daje mu szczęście — tylko to, że wciąż się obawia...
 — Tak... ja też... Lubię Antka. Swego czasu bardzo mi pomógł... Ale to zdaje się wcześniej czy później wyjdzie — jak mówisz: znajdzie się jakiś Robek, co wychłapie mu wszystko...
 — Dlatego dobrze, że teraz mieszkają daleko od Sampolu, gdzie przebywała Remońka... Na Pordorlanie... I zdaje się, że to ona sama tak prowadzi — nie widują się prawie z nikim.
 Wybiła godzina. Kurzawa zapłacił i wyszli. Pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę rozmyślając nad dziwnym szczęściem Antka Grzywacza.
 Nie zauważyli, że w cieniu kawiarenki ten skurczony człowiek nie spał i słuchał... Gdy wyszli, wstał i uśmiech radości drżał na jego wstrętnej twarzy. Szepnął przez zęby:
 — Dobra nasza!
 Był to właśnie Robek Zalesiński, po policje zwany Robkiem, jakby przez szczęśliwą ironię, gdyż nigdy nie robił. Jako młody student przyjechał do Paryża 2 lata temu na studia, ale pociągnął go grząski wir życia wielkiego miasta... Staczał się coraz niżej, a gdy, po śmierci ojca, został bez pieniędzy, z dna kałuży nie miał sił się wygrzebać i nie chciał. Zarabiał dziwnymi sposobami... Znali go

Polacy i stronili od niego, jak mogli. Był zakalą wychodźtwa. Był ojcem wszystkich intryg, wszystkie świństwa były mu dobre i ze wszystkich potrafił wyciągnąć zysk dla siebie. Mówili o nim, że nawet szpiclują dla policji. Ulubionym jego zajęciem było podsłuchiwanie w lokalach, gdzie się zbierali jego rodacy. Z tego, co słyszał, zawsze mógł być zarobek...

Teraz wesoly uśmiech nie schodził z jego twarzy. Zapłacił za wino i szybko wyszedł z kawiarenki. To dopiero gratka!

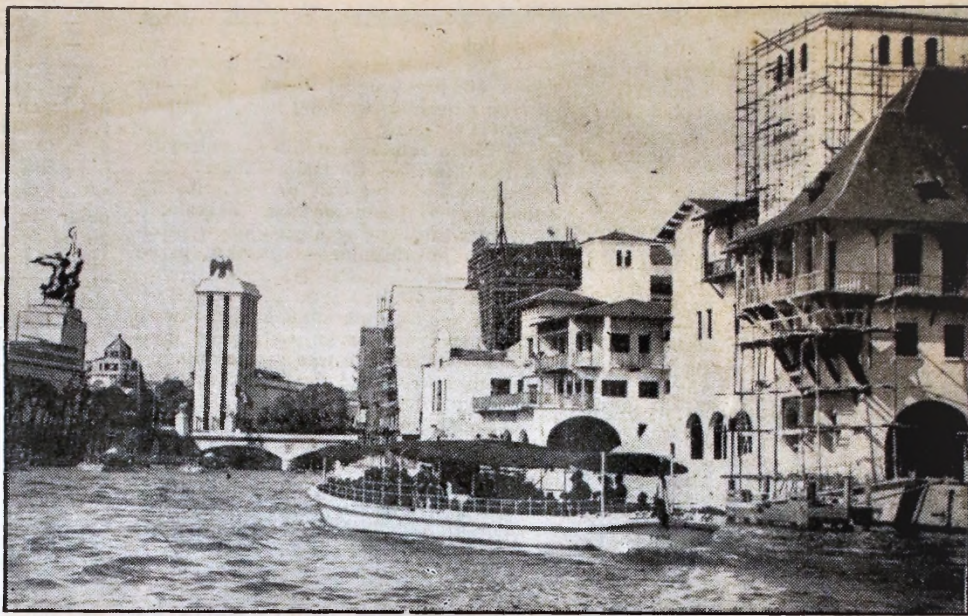
Antek Grzywacz uchodził za bogatego chłopca. Zarabiał doskonale przy budowie metra. Majstrem tam był. Może dobrze zapłacić za taką wiadomość...

Robek długo czekał na taką gratkę, był już nieco podposzczony, dlatego nie zwlekał i zaraz skierował się w stronę najbliższego metra. Jadąc do Porte d'Orleans szumiącymi tunelami, rozmawiał rozkosznie.

Znał dobrze ową Raymondę, przez Polaków z Saint Paul'u zwaną Czarną Remońką. Od kilku lat królowała ona w knajpach tej dzielnicy zwanej polską, gdyż tyłu w niej mieszka Polaków, że na ulicy prawie że innego, jak polski, się nie słyszy. Czarna Remońka była dziewczyną niezwykłej urody, ale nie ceniła jej sobie zbyt. To też kochali ją chłopaki jeden po drugim, przeważnie Polacy, a potem — to już sami Polacy, gdyż garnęła się stale do nich tylko, nawet parę słów nauczyła się po polsku — szczególnie śmiesznie wzmawiała „psiakrew”...

Żyła sobie wesoło, zawsze śmiejącą się, zawsze otoczona polskimi chłopakami... Aż nagle zniknęła z Sampolu... Pewnego dnia w pustej jeszcze kawi-

Tydzień na migawkę



rence polskiej tej dzielnicy usiadł wysoki, silny chłop. To Antek Grzywacz przyjechał z Nord do Paryża do robót przy budowie kolei podziemnej. Traf chciał, że po lekkiej kłótni z ostatnim kochankiem czarna Remońka, mocno oburzona, weszła do kawiarenki. Antek piękny był chłop — przysiadła się... Jak zaczęli gadać, żartować — tak się polubili i — minęły tygodnie, a Czarna Remońka nie wróciła na Sampol...

Pokochali się...

Antek nie wiedział nic o jej przeszłości. Pokłamała mu to i owo — chłop był dobry, więc i naiwny — wierzył każdemu jej słowu...

Robek rozmyślał, ile zażądać — i jak zacząć... Bał się trochę... Antek silny jest, jak koń... A nuż wyróżnie, nie uwierzy... Świadców się znajdzie...

Odnalazł mieszkanie Antka — jak to dobrze jest znać wszystkie adresy. Pościła pod drzwiami — cicho...

Zapukał.

Z za drzwi usłyszał dźwięczny głos Remońki!

— Qui est là?

Czyżby Antka jeszcze nie było?

Czarna Remońka za dużo miała na sumieniu, ażeby lubić kolegów Antka. Nie miał ich zresztą zawiewu — ale ona i tak prosiła go zawsze, by się nie wdawał w pogawędki, nie chodził do polskich knajp... Cieszył się z tego, bo tłumaczył to sobie jej chęcią przebywania z nim jak najdłużej, spędzania wszystkich godzin wspólnie, ile tylko czasu zostawało mu po robocie. Raymonde bała się panicznie, że kiedyś wyda się wszystko... Jakże żałowała teraz swego dawnego życia, którego o-

hydny cien psuł jej obecne, tak słodkie przy kochanym nad wszystko i kochającym człowieku. Jakaś radość i jakaś gorczyż zarazem zalewała jej pierś, gdy — coraz częściej tuląc ją do serca — wieczornymi słodkimi godzinami napominał o tym, że weźmie ją za żonę, gdy dorobi się we Francji i zabierze ją tam, do dalekiej Polski...

Wtedy szeptała mu gorące nalegania, by to się już stało, by jechali zaraz... Wieś podkrakowska, o której jej tyle opowiadał, wydawała się biednej dziewczynie wybawieniem jedynym... Tam jej nikt nie zna. Nikt nie wygada mężowi, że wziął sobie za żonę dziewczynę, która widziała i przeżyła tyle na Sampolu...

Sama nie czuła w sobie już nic z dawnej. Tamto przeszło po niej, jak woda... Była przy nim jakby był jej pierwszym... Kochała go.

Nieufnie uchyliła drzwi... Cóż to za kolega Antka?

Robek uklonił się jej grzecznie.

— Madame — pardon — poprawił się ironicznie — mademoiselle...

Poznała go... Cofnęła się z okrzykiem... Któżby w Sampolu nie znał Robka! Mało nasłuchiwała się o nim od Polaków? Jakże dobrze wiedziała, co oznacza wejście tego ponurego, wstrętnego człowieka pod jej dach...

— Znamy się przecież — mówił przymilnie Robek — tak, z widzenia — z Sampolu... Czy się nie mylę?

— Antka nie ma — szepnęła przez drżące wargi — nie wróci dziś do domu. W oczach Antka zabłysnął uśmiech na to widoczne kłamstwo.

— Nie wróci? Roboty w metrze kończą się o szóstej...

— Wziął akord...

— Acha... To ja — poczekam na niego

w knajpie naprzeciw...

Odszedł. Bezwolna ręka zamknęła drzwi. Marzenie o szczęśliwym życiu przeminęło jak sen zwiany wichrem... Co późno!

Nie ma sposobu niedopuszczenia Robka do Antka. Antek wróci lada chwila — jest już blisko dziesiąta — gdzieś się tu długo dziś zasiedział... Acha, miał przecież odwiedzić dzisiaj Stefana Kurzawę. Tego się nigdy nie bała. Czytała w jego siwych oczach, że nie powie...

Co robić?

W rozpaczy załkała strasznie. Wszystko stracone... Tam, przed bramą ten drań opowiada Antkowi już wszystko o niej. A Antek trzęsie jasną swą głową i niedowierza... Niedowierza — ale wreszcie musi uwierzyć. Czy obejmie go gniew straszny czy smutek? Czy wpadnie tu — ogromny, dziki — miotający szaleństwem? Nie... Antek! Antek!

II

Łkała. Chce zobaczyć, czy mówią. Zobaczyć, co robi Antek, słysząc straszne wiadomości... Wyszła cicho na schody. Nadsluchując zeszła do bramy. Ujrzała: paląc papierosa po drugiej stronie ulicy przechadzał się Robek...

Gdy odszedł trochę dalej, wymknęła się z bramy za róg. Biegła — gdzie i po co? Wszystko jedno! Byle dalej od tych okropności, które się tam rozegrają... Nie bała się gniewu Antka — niechby ją zbil na śmierć — bała się jego jasnych oczu, jak na nią spojrzą i ust, które powiedzą straszne słowo.

Przestala biec. Zaparło jej oddech. Oparła się o mur domu. Zaleciał zapach mdy, ziołowy — spojrziała: tuż obok — apteka...

Jedna chwila decyzji.

Weszła. — Proszę fiaszeczkę jodyny...

Zapłaciła i szybko wyszła. Wiedziała: wypić to pomieszane ze spirytusem, jak Henriette, jej dawna koleżanka, gdy jej lekarz powiedział... Umarła...

Zza zakrętu wyrzwała...

Zbladła, potem krew rzuciła się jej do twarzy, serce zaczęło walić... Stała jak wrośnięta w ziemię i patrzyła.

Uliczka była pusta i na jej zamkniętej przestrzeni — o parę kroków od niej — przed bramą ich domu jej Antek — prał...

Ach, jak prał!

Widziała już nieraz jak się Polacy biją. Nie tak, jak Francuzi — nakrzyżują, napyskują — obsypią się obelgami, zdejmą nawet marynarki — ale rozejdą się nie dotknawszy się wzajemnie... Polacy — to prał naprawdę!

Ale takiego prania, jak teraz — nie widziała jeszcze w życiu...

Antek wyciągniętą ręką trzymał Robka za szyję, a drugą prał go po tej splugawionej twarzy wyrzutka i obwiesia... Z jednej strony — z drugiej strony — z prawej — z lewej — i jeszcze — i znów... Robek wisiał prawie w twardym uścisku ręki straszego chłopca, którego jasne, tak łagodne zazwyczaj oczy, świeciły teraz surowym blaskiem stali, jak szyny w tunelu podziemnym, które przez osiem godzin zakładał...

Wreszcie puścił nieszczęsnego obwiesia. Robek sypnął się jak długi na chodnik, ale wnet zerwał się i pognał panicznie rozwiany na wietrze z tą dużą głębą z obu stron...

Antek nie popatrzył w jej stronę. Myślała, że jej nie spostrzegł. Ale takie oczy nie widziałyby wszystkiego? Nie spojrzawszy na nią skinął w jej stronę ręką i wszedł do bramy...

Co robić? Ogarnęła ją groza...

Ale iść musi... On skinął na nią — skinął tak spokojnie, jakby nigdy nie... A może... Szalona nadzieja zaświtała w jej zbiedzonych oczach: może on nie zdążył Antkowi powiedzieć? może Antek miał z nim jakieś inne porachunki i dał mu zaraz za nie zapłatę — a Robek nie zdążył mu powiedzieć o tym, z czym niewątpliwie przyszedł?...

W szalonej nadziei tego cudu, którego możliwość wysnuła sobie ze spokojnego zachowania się Antka względem niej, wstępowała zataczając się po schodach i powoli weszła do mieszkania.

Antek nagi do pasa przycał już jak dziki duży kot nad umywalnią.

Weszła. Mył się dalej.

— Nie wie... Przecież, gdyby wiedział...

Odważyła się:

— Przyszedłeś tak późno...

Nie wiel nie wiel! Serce tlukło się szczęściem w zamierającej piersi. Nie wie — nie dowie się — powie mu dziś, że muszą jechać zaraz, natychmiast... Nie wiel! Mówi do niej jak zawsze...

Poskoczyła do niego i w radości niezgłębionej zaczęła tulić się do jego nóg, chłodnych pleców. Chłodne strugi wody zmieszały się z gorącymi jej łzami. A on obrócił się ku niej powoli i — o radości! — objął ją...

Tulili się tak do siebie długo aż nagle on wyjął z jej ręki kurczowo zacisniętej fłaszczkę jodyny... Trzymała ją cały ten czas...

— Co to?

Czerwone wypieki oblały jej twarz.

— Jodyna — rzekł i popatrzył na nią uważnie.

Żadne kłamstwo nie przychodziło jej na myśl — ach, te oczy jasne, ukochane, te oczy, które wszystko odgadną!

Nagle jak ostatni ratunek:

— Że jej to od razu na myśl nie przyszło! Jodynę bierze się przecież na ból zębów — tylko, że jej nigdy zęby nie bolały i ich zdrowiem i pięknnością szczyciła się zawsze...

— O? — zdziwił się Antek. — Który ząb?

— Ten... o, ten — pokazywała palcem.

— Pokaż.

— Nie... boli mnie... boli... próbowała uronić się przed oględzinami. Spokojnie silnymi palcami otworzył jej usta i obejrzał zęby.

— Żaden ząb cię nie boli — zdecydował spokojnie. — Czemu kłamiesz?

Zaduzo było już dziś przejść. Nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Zakałała. Z płaczem wtuliła się w niego, jak w ostatnią nadzieję ratunku — ratunku przed nim samym...

Czuła bicie jego serca... I nagle poczuła, że serce to tak silne, bijące zawsze tak regularnym rytmem, wstrząsnął jakiś skurcz: zaczęło pulsować — poczuła żywiej lejącą krew pod twardą skórą piersi kochanego.

Odsunął jej głowę — spojrzał w jej oczy. Jakże przerażone były jego oczy!

Zapytał krótko:

— Widziałaś się z tą szujką?

— Tak — odparła.

— Aaa! — jęknął. I chciałeś — nie mógł wymówić tego słowa.

— Tak — wyplakała serdecznie — chciałam się zabić tak... tak...

Nie zastanawiała się, nie starała się zrozumieć... Więc jednak on wie?

— Remońka — szepnął ze strasznym wyrzutem — Remońka!

Usiadł i wziął ją na kolana. Nie wiedziała nic, co to wszystko znaczy. Wiedziała tylko, że jest jej niewysłowienie dobrze, tak dobrze, jak nie przypuszczała, że wogóle może być na świecie...

Gorąco dziwne wderowało po całym jej ciele, a tam, gdzie tuliły ją silne ręce Antka, paliły ją płomienie. Ale przy tym wszystkim serce jej było zupełnie spokojne — ufnie biło w płonącej piersi, wiedziało, czego zrozumieć nie mógł biedny mózg. Wiedziało — że on wiedział — wiedział — ...

I mówił z gorącym wyrzutem.

— Remońka... Jak mogłaś pomyśleć o czymś podobnym!

Zaczęła skarżyć się mu w słodkiej ufności, spokojnie i nielekliwie. Opowiedziała mu, jak się strasznie bała, jak wciąż się bała, że on się dowie...

— Gdy się dowiem — o czym? — zapytał cicho.

Zimny dreszcz przeleciał po jej plecach.

Jakto? Co to ma znaczyć? Więc onby jednak nie wiedział?

— O czym? — powtórzył.

Milczała. Co robić? co mówić?

Przytulił ją mocniej do siebie i rzekł:

— Remońka... ten szuja nic mi nie powiedział, bo po jego pierwszym słowie zacząłem go bić... Łotr! wisielec! Ale przecież, Remońka — ja wiedziałem.

— Jakto? wiedziałeś?!

— No naturalnie...

— Kiedy? kto ci powiedział?

— Czy to tak trudno się dowiedzieć? ludzie chętnie mówią o rzeczach złych... tylko o dobrych nie chcą mówić... A kiedy? O, dawno... w parę dni po naszym poznanu się...

— Antek... Antek... — szeptały wargi pełne łez spływających szerokimi smugami po drżącej twarzy.

— Ale tego ci przebaczyć nie mogę — rzekł nagle twardo — że chciałaś mnie tak skrzywdzić — pokazał na fłaszczkę.

Plakała.

— Zostawiłabyś mnie — samego na świecie, Remońka?

Odparła przez łzy i dobrą słodycz spokoju:

— Bo nie wiedziałam, że to tak... żeś ty taki... taki najlepszy... Bałam się — myślałam, że wygnasz... przepędzisz...

Długo siedzieli spleceni uściskiem kochania i przebaczenia. Przez pokój mknęły długie, jasne chwile. Uśmiechały się do niej po polsku — tak inaczej — tak dobrze...

Ktoś zapukał.

— Qui?

— To ja, Kurzawa.

Antek pocałował ją długo i gorąco w same usta. Potem narzucił bluzkę.

— Jak się masz — witał przyjaciela. — Bylem tam dziś u ciebie — czekałem długo...

— Właśnie dlatego tu dziś przyszedłem, że powiedzieli mi o twej wizycie.

— To świetnie — siadajże...

Zza parawanu wyszła Raymonde, przypudrowana, uspokojona. Przywitał ją wesoło.

— Ale, ale... wiecie — widziałem po drodze, gdy wsiadałem w metro, wysiadającego Robka. Ktoś mu tak głębule skul jak się patrzy. Wygląda jakby go pszczoły pokąsały.

— To ja mu tak zapłaciłem... — rzekł

Antek spokojnie.

Kurzawa popatrzył mu długo w oczy, potem spojrzał uważniej na Raymonde — odkrył ślady łez. Przez stół wyciągnął do Antka twardą ręką i mocno jego dłoń uściśnął.

Witold Zechenter

Reflektorem po świecie

KAMIEŃ, KTÓRY TLUMI HAŁAS

Hałasy w wielkich miastach są plagą, z którą walczyć z niezbyt wielkim, jak dotąd, skutkiem zarządy miejskie, technicy, fachowcy.

Z Ameryki nadeszła wiadomość, iż na Florydzie odkrył pewien inżynier rodzaj osobliwych kamieni, które gładzą hałas. Jak można wnioskować z opisów podanych przez pisma, chodzi tu o kamień porowaty, który w dużym stopniu wchłania dźwięk.

Zainteresowani tym odkryciem fachowcy sprządzili transporty kamienia, który będzie użyty do brukowania szos. Dopiero próby dowiodą, czy nowy ten rodzaj bruku przyczyni się istotnie do zmniejszenia hałasu przy ruchu kołowym.

1.300 KOBIEC CHCE JECHAĆ NA ANTARKTYDE

W czerwcu r. b. uda się do Antarktydy nowa ekspedycja brytyjska, która ma pozostać w okolicach bieguna południowego dwa lata dla przeprowadzenia badań geologicznych i odkrycia nowych wysp lub łąd stałego. Kierownikiem ekspedycji jest E. W. Walker, geolog i lotnik.

Ekspedycja nabyła statek norweski pojemności 480 ton, poruszany motorem naftowym. Nadano mu nazwę „Shakieton”. Na pokładzie statku znajduje się też samolot.

W skład ekspedycji wchodzi 32 osoby. Do udziału w ekspedycji zgłosił swój akces 1300 kobiet, ale nie przyjęto ani jednej, gdyż, zdaniem Walkera, żadna kobieta nie może wytrzymać dłużej niż miesiąc w Antarktydzie.

F. A. Ossendowski

MOCNI

Jednocześnie z nią przybyło nad Algim i założyło tam swe obozowisko kilka rodzin samojezdskich ze stadami. Roman całymi dniami krzątał się wokoło domu. Sprawdzał piec, zatykał każdą wykrytą szczelinę, zaopatrywał okna, wkładając między ramy mech, szczególnie zbijał deski we drzwiach i otulał je od wewnątrz skórami upolowanych przez Lisa jeleni i saren, wreszcie zbudował budę dla Urra, który, mimo że był ponury i nieufny, prędko się przyzwyczaił do nowej siedziby.

Lis, korzystając z wolnego od pracy czasu, postanowił nauczyć się jeździć na nartach, ponieważ było to niezbędne do zimowego polowania. Chciał też dobrze poznać psa i wprawić się do wspólnych z nim łowów.

Śnieg skrzął się tak jaskrawo, że zesłaniec musiał mrużyć oczy. Z pod białej powłoki tam i sam wyglądały do kropli krwi podobne jagody zórawiny, borówek i „kniażeniki”. W takich miejscach Lis spostrzegał zwykle wykopane dołki i liczne ślady. Gdy wreszcie ujrzał zrywające się pardwy, zrozumiał, że to północne, białe kurapatwy wygrzebują dla siebie z pod śniegu pożywienie.

Inne a coraz liczniejsze ślady biegły też poprzez białą płaszczynę tundry, chociaż wydawała się pustynną i martwą. Nie jednak dojrzeć nie mógł nie nawykły do syberyjskich łowów myśliwy.

Wiedząc to uczyć go zaczął tej sztuki rudy, kudłaty Urr.

Mijali właśnie zarosła brzozy polarnej, nędznej karłowatej, plaszczonej się tuż przy ziemi. Pies nagle przystanął, podniósł głowę i najeżył sierść na karku. Małe ostre uszka drgały mu, chrapy rozdymały się i weszły.

Lis postąpił kilka kroków ku niemu, trzymając w pogotowiu strzelbę. Urr natychmiast podczołgał się do swego pana, zapisał cieniutko i szarpnął go z lekka za nogę, jakgdyby chciał zatrzymać na miejscu.

Lis stanął, jak wryty.

Piesek porozumiewawczo merdnął ogonem i jał skradać się ku haszczom. Po chwili podpełznął do nich i położył się na ich skraju. Poruszał zwolna głową na wszystkie strony, węsząc i nasłuchując.

Widać, że w mig zrozumiał wszystko, bo bez szmeru powrócił do myśliwego i, szarpnąwszy go znowu, pobiegł naprzód, oglądając się raz po raz. Lis szedł za nim z zachwytem patrząc na mądre zwierzę. Piesek doprowadził go do miejsca, gdzie z haszczy brzeziny wybiegała szeroka ścieżka. Wszedł tu długo, opuściwszy ogon, aż wreszcie zaskowitył cicho, znowu szarpnął myśliwego, wbijając w niego surowe ślepie, poczem, nie oglądając się, pobiegł na lewo.

Człowiek zrozumiał, że pies pozostawił go tu na czatach, więc, postąpiwszy kilka kroków, ukrył się za krzakiem i podniósł kurek karabinu. Z bijącym sercem wpatrywał się w powiklaną sieć nagich prętów z poruszającymi się tu i ówdzie żółtymi liśćmi.

Nie widział już teraz Urra.

Minęło kilka długich minut oczekiwania, gdy nagle przed nim, z przeciwnego końca zarosli, rozległo się jedno jedyne basowe szczeknięcie pieska. Prawie w tej samej chwili myśliwy posłyszał lekki trzask w krzakach i na ścieżkę wybiegły, jeden po drugim, trzy wilki.

Jeden z nich szary, prawie biały, przystanął nagle, aby rozjeździć się po tundrze, lecz w tej chwili buchnął strzał wilk ugadzoony w pierś tuż pod szyją, padł, rozrzucając śnieg i broząc krwią. Inne pierzchły do haszczy.

Nie zdążył myśliwy nabić ponownie strzelby, gdy nadbiegł Urr.

Pytając spoglądał na pana, a gdy ten skinął ręką, wskazując na leżącą zdobycz, podbiegł ku niej truchtem, powęszył, liźnął krew na śniegu i powrócił.

Teraz znowu przyglądał się człowiekowi bacznie i natrętnie.

Pan Władysław schylił się i pogłaskał go po grzbiecie.

Piesek pisnął cieniutko i merdnął puszystą kitą. Lis wtedy wyraźnie zrozumiał, że podczas tego polowania on i pies wzajemnie się poznali i obaj byli z siebie zadowoleni.

Bieg na nartach samojezdskich, okrągłych, krótkich, o oparciu z żył i podsyciu z jeleniego futra, co pozwalało posuwać się po miękkim nawet śniegu i na zarosniętym terenie, coraz lepiej udawał się Lisowi.

Chodził na polowanie codziennie, z czego niezmiernie cieszył się Urr, trzymany w domu na uwięzi, ponieważ obawiano się, że może zbiec i powrócić do Wotkula.

Pies nauczył swego pana wypatrywać białe pardwy i gronostaje na śniegu, gdzie widniał tylko czarny koniec drgającego ogonka małego drapieznika, szukać płowych lasic, ukrytych w kupkach opadłych, brunatnych liści, i zacząć się przy ścież-

kach, wydeptanych przez lisy, żerujące w zaroślach lub kluczące po tundrze.

Pan Władysław nie strzelał do drobnych drapiezników, bo wiedział, że łowcy chwytają je w potrzaski, aby nie niszczyć drogich skórek, lecz zdobył sporo wilków, lisów i białych zajęcy, nagnanych na niego przez sprytnego Urra.

Z tych futer cieszył się najwięcej Roman. Całymi nocami ślecał nad nimi, zgarniając z nich tłuszcz i resztki mięsa, myjąc i miętosząc, aby nabrały miękkości; wtedy uszył z nich duży kobierzec i okrył nim główną izbę chaty.

— Teraz nasza pani nie będzie czuła zimna w nóżki... — mrucał, a oczy z pod krzaczastych brwi świeciły mu radością.

Na tundrze Lis spotykał czasem pastuchów samojezdskich, strzegących stad.

Renifery chodziły wolno i ostrymi racicami wygrzebywały z pod śniegu mech i trawę. Czarne, białe i pstrokate „lajki”, zle i czujne, uwijały się wokół i naszczekiwały.

Niezliczone zgraje wilków czaiły się na śnieżnej równinie i czyhały na pojedyncze renifery, gdy, odbiwszy się od stada, wędrowały zbyt daleko w poszukiwaniu paszy. To też psy pasterskie czuwały nad bezpieczeństwem stada, zawracały nieostrożne jelenie północne, odpędzały skradające się wilki. Nie raz chwytaly czworonożnego bandytę w biegu i trzymały go, aż dopóki nie nadbiegły pastuchy i nie zabili go oszczepem, nożem albo strzałą z luku.

Podczas swoich wypraw myśliwskich Lis nieraz napotykał mogiły samojezdskie.

Dziwne to były groby!

Nieboszczyka wraz z pozostałym po nim ubraniem, lukiem i złamanym nożem składano zwykle w zrzębie z belek modrzewiowych i przywalano pokrywą jego kamieniami. Na takiej trumnie stawiano przewrócony do góry dnem dziurawy kocioł, a obok — sanie, z uwiązaniem do nich ciężkim dzwonkiem. Po pogrzebie krewni i przyjaciele, odprowadzający nieboszczyka do miejsca ostatniego spoczynku, odjeżdżali, nie oglądając się poza siebie, na pewnej zaś odległości od mogiły wtykali w śnieg lub w ziemię dwa skrzyżowane pręty, mrużąc przytem:

— To jest nasza droga, a ta — twoja! Kroczyć już teraz swoją drogą!

Jeżeli wypada przejeżdżać koło grobu zmarłego, Samojezdz zatrzymują się, zabijają młodego jelenia i uczują. Powiesiwszy na grobie czaszkę renifera z rogami, uderzają w dzwonek i mówią chórem:

— Słyszysz, nieboszczyku? Uczciliśmy godnie twoją pamięć!

Przy mogiłach samojezdskich, rozrzuconych po tundrze, pan Władysław upolował sporo wilków i lisów, które uczęszczały tu chętnie, usiłując dostać się do ciała zmarłego człowieka, przegryzając otaczające trumnę rzemienie i rzucić ciężką pokrywą.

Powracając z dalekich wycieczek, pan Władysław zaczynał zawsze od odwiedzin koczowiska sąsiadów.

Samojezdz przyjmowali go uprzejmie i gościnnie. Leniwy, to jest szczep, lekkomyślny i lubujący się w ucztach i zabawach. Radzi więc są każdej sposobności urządzenia sutego przyjęcia. To też gdy zjawiał się wśród nich zesłaniec, natychmiast schodzili się wszyscy koczownicy i zarzynali jelenia, kobiety zaś zaczynały „warzyć kocioł”. Posiekanego jelenia, wraz z warobą, sercem, śledzioną i nerkami, gotowano długo w dużym, szczególnie zamkniętym kotle do czasu, aż pozostawało w nim mało płynu, a mięso miękło tak, że można je było jeść bez pomocy noża. Głowę wraz ze skórą i rogami pieczono osobno na węglach, poczem najsędziwszy Samojezd podawał ten najlepszy przysmak gościowi, który raczył się mięsem i ozorem.

Lis, spostrzegłszy rozrzutność sąsiadów, od tego czasu omijał koczowisko, aby nie narażać tużemców na wydatki. Podezwał uczył bowiem przekonany się o jednej jeszcze przykrej okoliczności. Samojezdz, jak się okazało, skłonni byli do pijaństwa. Sprzedając kupcom rosyjskim skóry i mięso, kupowali zawsze wódkę, którą raczyli się chętnie. Poza tym mieli własne sposoby wyrobu napojów męnych, oszalamających, a nawet trujących. Przynędzali je z dzikich jagód, zbieranych w tundrze, a dla

LUDZIE

nocy dodawali jeszcze pewnych ziół, powodujących podniecenie i utratę przytomności.

Zesłaniec wiedział już od Wotkuła i Pyragi, jaką klęskę szerzy pijaństwo wśród ciemnych, półdzikich koczowników.

Alkohol stawał się nierzadą przyczyną krwawych porachunków i zbrodni. Otumanieni wódką Samojedzi ciężko chorowali i umierali, zamarzając w swoich czumach.

Było to zjawisko nader smutne, bo ilość Samojedów topniała z każdym rokiem, a panujące wśród nich epidemie, z którymi nie mógł walczyć osłabiony z powodu pijaństwa organizm tuziemców, zagrażały zupełnym wymarciem tego północnego szczepu.

Lis postanowił wypowiedzieć bezwzględna wojnę temu strasliwemu nałogowi. Czekał więc z niecierpliwością i upragnieniem powrotu żony, aby rozpocząć krzewienie oświaty i świadomości wśród tych biedaków, rzuconych surową ręką losu na obszary, gdzie srożyła się i szalała śmierć.

Miała mu w tym pomóc pani Julianna.

Podczas jednej z wypraw myśliwskich, gdy Lis zapuścił się był aż na tundrę Dużej Bałki, gdzie z licznych jeziorok wypływały potoki, wpadające do Keci, powróciła pani Julianna do osady nad Ałgimem.

Przywiózł ją Michał Rodionow na nartach, zaprzężonych w cztery renifery pojazdowe. Za nimi jechały inne, powożone przez Sieńkę, a naładowane ciężką skrzynią, której dostarczyła poczta do Narymu dla Lisów, gdyż nie pisali oni do rodziców o zmianie w swoim życiu, nie chcąc niepokoić i zasmucać stroskanych staruszków. Na końcu, śmiejąc się na głos, trząsł się na siedle kulawy Garsa, popędzając kosmatego narymca i prowadząc na rzemieniu renifera Lisów.

W dwa dni po przyjeździe żony powrócił pan Władysław.

Zjawił się oszroniony od stóp do głów, zasypany śniegiem, o twarzy szerniałej od wiatru, mrozu i dymu ogniska. W podbitej jelenią skórą kurtce — „malci”, w futrzanych „pime” i „kisach”, wciągniętych na uszyte ze skórek zajęczych „czyże”, pan Władysław miał na sobie jeszcze luźny kozuch — „sok” na lisach, ściągnięty mocnym pasem — „ni”, ozdobionym mośiężnymi blachami. Tak ubrany, w nasuniętym na czoło kołpaku — „nesowo”, mógł śmiało ująć za rodowitego łowca samojedzkiego.

Różnił się jednak od tuziemców niezwykle rozrosłą, barczystą postacią, która w tym szerokim wygodnym stroju myśliwskim wydać się mogła potworną. Niby duża ośnieżona bryła wyczoł się do izby i padł do nóg żony. Długo nie mógł przemówić słowa, uszczęśliwiony i wzruszony ponad siły.

Z trudem uspokoił się w pośpiechu zrzucił z siebie worek i zdjął wierzchnie ubranie i „malcię”. Pozostawszy w krótkiej skórzanej bluzie, odwiązał worek i jał wyjmować z niego zbożyc, powtarzając:

— To dla mego słoneczka... to dla mego kochania... to dla mojej Julianki niebożątka!

Pani Julianna klaskała w dłonie na widok rzuconych jej pod nogi skórek białych lisów i tchórzów.

Rozradowany beznamiętnie pan Władysław sięgnął wreszcie do worka po raz ostatni i zawołał:

— To dla mojej królowej świetlanej!

Z tymi słowy podał jej piękną, niezwykle dużą i puszystą skórkę, niemal zupełnie czarnego zwierza.

— Cóż to za przepiękne futro! — zawołała zachwycona pani Julianna, piesząc dłońią długą, puszystą sierść.

— To rozumie! — wykrzyknął Rodionow. — Upolowaliście najpiękniejszy okaz czarnego lisa... Drogo możecie go sprzedać!

— Już sprzedałem go najdrożej! — odparł ze śmiechem zesłaniec, całując żonę po rozradowanych oczach.

Pan Władysław jał teraz witać Rodionowych, Garsę i Romanę.

— Jakbym przeczuł twój powrót, luba moja! — rzekł po chwili. — Zbrakło mi herbaty, lecz natrafiłem na „moruszkę” i zbierałem sporo suchych liści tej samojedzkiej herbaty. Mogł-

(13) bym wytrzymać od biedy jeszcze tydzień na tundrze, tym bardziej, że Urr wytropił jeszcze kilka białych lisów, lecz jakieś przecucie ciągnęło mnie do domu... Daleko byłem... szedłem podług gwiazd i potoków... Pełnię mamy, więc nocami też biegłem... do ciebie, do Julianki mojej lubej!

Przy progu stał okryty sopłami lodu rudy Urr i, kręcąc kosmatym łebkiem, z podziwem przyglądał się zebranym w izbie ludziom. Po namyśle podszedł do pani Julianny, podniósł głowę i cicho pisał. Gdy pogłaskała go po mokrych kudłach, wlaż pod ławkę i jał wyrwać z sierści łód i wylizywać sobie łapy, wzdychając i sapiąc.

— Chodź tu, Urr! — mruknął Roman. — Odprowadzę cię do budy.

— Zostawcie go tu, — odezwał się Lis, — już on teraz ode mnie nie zbiegnie... W przyjaźni zjemy ze sobą...

Z pod ławy dobiegło ciche skomlenie Urra.

W godzinę potem wszyscy zasiedli do stołu.

Pani Julianna opowiedziała mężowi, w jakim oplakany stanie znalazła biedaczkę Dunię i pocziwą Wotkułową.

— Myślę, że był to dur brzuszny, — mówiła. — Na szczęście od razu domyśliłam się tego z opowiadania Samojedów, a że mam odpis raportu naczelnego lekarza wojsk polskich, doktora Kaczkowskiego o tej chorobie i sposobach jej leczenia, stosowanych podczas wojny, wiedziałam, co należy czynić. Ciężką jednak miałam z nimi przeprawę, bo długo nie mogłam zwalczyć strasliwej gorączki. Bredziły, miotały się i zrywały ogrzewające okłady, które stosowałam naprzemian z owijaniem w płachty, wymoczone w zimnej wodzie. Prawie cały mój zapas chinu zużyłam, ale zato wyleczyłam nasze przyjaciółki! Odjechałam, bo już chodziły i wciąż domagały się jedzenia. Jest to najniezawodniejsza oznaka, że choroba już przeminęła.

Ze śmiechem opowiadała pani Lisowa o tym, jak wstawszy po chorobie, Dunia Rodionowa w nocu myszkowała po domu, szukając czegoś do zjedzenia.

— A jacy oni wszyscy wdzięczni i dobrzy! — zakończyła swe opowiadanie pani Julianna. — Zasyпали mnie upominkami, przemocą wpychali mi do rąk pieniądze.

— A pani nic nie chciała od nas przyjąć! — zawołał z wyrzutem Rodionow.

— Poczóż nam pieniądze? — zaprzeczyła. — Mamy przecież wszystkiego pod dostatkiem! Niczego nam tu chwala Bogu nie brakuje! Zeszła zażądałam od was sówitej zapłaty. Czyżbyście zapomnieli, Michale Szymonowiczu? Prosiłam was, abyście przy okazji doręczyli mój list doktorowi Gruberowi w Tomsku i przywieźli mi od niego zapas chinu, opium, jodu, garbnika, anyżu, waleriany i innych środków leczniczych. Obiecaliście mi też, że przy sposobności wyślecie do nas gońca z pocztą, jeżeli coś na nasze imię do Narymu przyjdzie.

— Wszystko to spełnimy, — odparł Rodionow, — chociaż niema w tym żadnej zapłaty, bo wyszło to zużycie na leczenie ludzi...

— Dajcie spokój, przyjacielu! — przerwał mu Lis. — Wdziecie przecież, że żona nie chce mówić o zapłacie! Wiemy, że gdy będziemy potrzebowali waszej pomocy, dacie ją nam.

— Któżby postąpił inaczej?! — oburzył się kupiec. — Wam nie dopomóc?!

— No to już i zgoda! — uśmiechnęła się pani Julianna. — Idę przyrządzić herbatę, a potem — spać, bo wszyscy chyba jesteśmy zmęczeni daleką drogą!

Pod ławką cicho westchnął Urr.

— Romanie, — rzekła pani Julianna. — dajcie Urrowi miszkę polewki i kości!

Piesek widocznie zrozumiał, bo natychmiast wyszedł spod ławy i, przekręciwszy łebek na bok pytającym wzrokiem, wodził za robotnikami.

Gdy Roman, wzięwszy naczynie, poszedł do kuchni, Urr podążył za nim. Trochę utykał na lewą łapę, lecz bardzo dostojnie, bez unizoności merdał końcem puszystej kity.

ROZDZIAŁ XII

TCHNIEŃ ŚMIERCI

Po odejździe Rodionowych Lisowie pędzili ciche i spokojne życie.

Pan Władysław nie opuszczał już domu, chociaż rudy Urr chodził krok w krok za nim i od czasu do czasu trącał go nosem, jak gdyby przypominając gospodarzowi o rozkoszy łowów.

— Poczekaj, mały, — mrucał do niego zesłaniec, bądź ciele pliwij! Wkrótce już przyjadą nasi przyjaciele i wyruszymy na długo do tajgi, kosmacz!

(DCN)

AWANGARDA KOLUMNĄ MŁODYCH

Rada Związku Polskiej Młodzieży

W dniu 30. maja b. r. w Daugawpilsie odbyło się pierwsze w bieżącym roku posiedzenie Rady Związku Polskiej Młodzieży w Łotwie.

Na prezesa został powołany p. Jarosław Wilpiszewski, na wiceprezesa — kurator p. Antoni Talat-Kielpsz oraz na sekretarza — p. Bolesław Leonowicz.

W przeszło pięciogodzinnych obradach, w których brali żywy udział wszyscy obecni, wysłuchano i poddano dyskusji sprawozdanie Zarządu Głównego oraz prezesów poszczególnych filii. Sprawozdanie Zarządu Głównego zostało przedłożone przez kierowników poszczególnych działów pracy.

Oprócz szeregu skutecznie załatwionych spraw organizacyjnych o charakterze mniej lub więcej wewnętrznym — godne podkreślenia jest zorganizowanie staraniem Zarządu Głównego w czasie od 6. I do 30. V b. r. na terenie całego ZPM 19 odczytów na 9 różnych tematów. Odczyty zostały przeprowadzone w 13 filiach. Oprócz tego niektóre filie własnym staraniem przeprowadziły szereg od-

czytów. Niemalym dorobkiem może się wykazać działalność Teatryku Kukielkowego ZPM. W tym samym czasie odbyło się 11 przedstawień, z których 5 dał zespół Daugawpilski, pracujący z ramienia Zarządu Głównego, 4 przedstawienia zespół Rezekneński i 2 zespół Krasławski. W każdym wypadku z pomocą techniczną (szopka, lalki i t. p.) przychodził Zarząd Główny. Poza tym opracowano regulaminy — kasowy, sekretariatu i biblioteki — zawierające uporządkowane systematycznie wskazówki co do odpowiedniego prowadzenia wymienionych agend pracy.

Ze sprawozdań poszczególnych filii wynika, że we wszystkich ośrodkach życie organizacyjne znajduje swój wyraz w wielu dodatnich przejawach natury społecznej. Na terenie całego Związku w roku bieżącym zorganizowano 16 wieczorków programowych, nie licząc wymienionych wyżej przedstawień kukielkowych i wieczorków tanecznych. Natężenie pracy w różnych filiach charakteryzuje się znacznymi odchyleniami. Z reguły w ośrodkach miejskich tempo pracy jest żywsze, choć przy odpo-

wiedniej energii i staraniach niejednokrotnie filie wiejskie mogą świecić przykładem.

W sprawach bieżących poddano szczegółowej dyskusji inicjatywę ZPM zorganizowania „dnia kultury polskiej”. Ostatecznie Rada ZPM wyraziła przekonanie, że zorganizowanie tak wielkiej imprezy musiałoby być dorobkiem całego społeczeństwa polskiego w Łotwie, że inicjatywę tę muszą urzeczywistnić zgodnym i zjednoczonym wysiłkiem wszystkie polskie organizacje. Prac przygotowawczych do tej wielkiej imprezy powinien podjąć się specjalny Komitet, którego zadaniem byłoby opracowanie ramowych programów „Dnia kultury polskiej” po wszechstronnym rozpatrzeniu możliwości w tym kierunku i znalezienia sposobów podjęcia tak wielkiego zadania.

Na Radzie z małymi wyjątkami były reprezentowane filie ZPM, stawili się również wszyscy obieralni członkowie Rady z grona członków wspierających oraz członkowie Zarządu Głównego.

Następne posiedzenie Rady odbędzie się prawdopodobnie we wrześniu b. r. (w)

Z Chóru Maturzystów w Rydze

PRZEGLĄD DZIAŁALNOŚCI CHÓRU MATURZYSTÓW P. T. O. w Łotwie od stycznia 1937 r. do końca sezonu (15. maja 1937 r.)

Jak wiadomo rok 1937. Chór rozpoczął swoim podstawowym koncertem, który odbył się 3. stycznia (jako koncert drugi z kolei) i, jak pisaliśmy, został prawie przez całą prasę w Łotwie przyjęty i przychylnie. Po tym koncercie 31. stycznia Chór wystąpił z kilkoma piosenkami polskimi i lotewskimi na tradycyjnym wieczorze Polskiego Rz.-Kat. T-wa Dobroczyńności w Rydze. W dalszym ciągu Chór intensywnie szykował program dla występu w radio lotewskim w stolicy.

Data występu Chóru w radio lotewskim był dzień Polskiego Święta Narodowego — 8. Maj. Program w radio był podzielony na 2 części: pierw-

sza część była poświęcona pieśniom lotewskim, druga polskim, które Chór wykonał w specjalnie przewidzianym dziale polskiej muzyki, na przemian z pianistą Żylińskim, który odegrał kilka rzeczy kompozytorów polskich. Występ w radio lotewskim należy zaliczyć do szeregu licznych już tryumfów Chóru.

W dniu poprzednim — to jest 2-go maja — miał miejsce jeszcze występ Chóru na uroczystości poświęcenia Domu Polskiego przy ul. Dzirnawu 46.

Dnia 12-go maja Chór wystąpił na uroczystości żałobnej zorganizowanej w drugą rocznicę śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego, gdzie odśpiewał kilka pieśni narodowych. Ostatnim występem Chóru Maturzystów w obecnym, kończącym się sezonie, był dzień Święta Narodowego Lotewskiego — 15. maj, który został przez Polonię w Rydze zaznaczony akademią w Domu Polskim. Dzień 15. maja zakończył działalność Chóru w sezonie roku 1936/37. W dniu 6-go czerwca r. b. Chór urządza dla swoich członków herbatkę, zamykającą sezon działalności chóru, by, we wspólnej biesiadzie, omówić przebieg pracy minionej oraz zastanowić się nad pracą przyszłą. (X)

Swente

W NIEDZIELĘ 6. CZERWCA W SWENTE w lokalu domu ludowego miejscowa filia ZPM urządza otwarty wieczór programowy i zabawę taneczną.

Zespół sceniczny filii Daugawpilskiej odegra 3-aktową komedię „Jego Kaprańska Mość”. Poza tym miejscowy chór odśpiewa szereg pieśni w języku lotewskim i polskim.

Bufet, studnia szczęścia, dobra orkiestra z Daugawpilsu dostarczą wiele przyjemności i wniosą do zabawy znaczne ożywienie.

Wstęp dla członków za okazaniem legitymacji 0,50 sant. Bilety dla publiczność od Łs 1.— i tańsze. (*)

znowu. A przecież ścisły jest właśnie związek między tym niespełnionym pragnieniem a uśmiechami, które miały być, a zamiast których minorowo i sennie snuje się to bazgranie.

Tak mało bowiem trzeba, żeby zważyć radość.

Przeszła tak śpiewnie chwila, gdy człek, upity słońcem i powietrzem, myślał sobie, że na świecie jest wiosna, a w środku tej wiosny tkwi tylko on sam, całujący oczyma pełnymi blasków niebo, drzewa i ludzi.

A potem znowu okazuje się, że wszystko jest smutne, szare i takie same, jak przed wiosną.

Czyż nie lepiej więc jest zignorować wiosnę i, niby nigdy nie, dreptać gdzieś w pobliżu?.. A miniona wiosna przypomina teraz już tylko dekoracje, które się odstawiło na stronę, jako zbyteczne w tym sezonie. Czasem się na nie spojrzy, od niechcenia i wtedy wypelza wspomnienie tych scen, dla których dekoracje stanowiły tło. Wraz ze scenami ożywia się tło i odwieczne kontrasty zaczynają królowanie.

*
Którejś zimy polecił mi ktoś zegarmistrza — staruszka. Że niby solidna praca. Że tanie wykonanie. Poszłam.

Wanda Ichnatowiczówna

Przez wiosnę i zegarki

Zwrócił mi jeden znajomy, Pan R., uwagę, że w pisaniu moim przygnębia pewna minorowość, która budzi smutne refleksje. Miałam się postarać strząsnąć to z siebie i wyszukać rzeczy jasne, dobre, któreby się same złożyły w uśmiech i promieniowały ze szpalt „Awangardy”.

Po tylu różnych polemikach jałowych (bo nie zdołały, jak widać, w nikim z ubocza wzbudzić zainteresowania), po szumie, który miał być, a którego nie było, chciałoby się napisać naprawdę coś o wiosnie, maju i kontrastach, kłujących oczy swoją wieczną niezgodą z tłem.

Chciałoby się dogodzić Panu R. i tak to napisać, ażeby całe bazgranie było jednym uśmiechem. Bo przecież dosyć jest rzeczy nudnych na świecie i tych mądrych i śmiertelnie poważnych! Niech by było też trochę głupiutkich i bardzo śmiesznych, a takich miłusich, na widok których usta same układają się w wesoły grymas.

Ale to jakież bezsilne „chcenie”. Beznadziejne zupełnie, skazane na uschnię-

cie. Gdyż w tych kontrastach, które widzę, i w zjawiskach, które obserwuję — nie ma uśmiechu, nie ma wesela.

Było może.
Przed tym, nim zwróciłam na nie uwagę.

Tak, jak była przecież wiosna. Niby biały pachnący sen minęło kwitnienie wiśni, opadły białe płatki z jabłoni i bzy przekwitły. Nie można zdążyć pochwycić oczyma piękna rozbudzonej przyrody, nie można zdążyć nalykać się wiosny i — już to wszysko gdzieś znika. Nie ma białych kwiatów w sadach. A to, co było przedziwnym budzeniem się, staje się nagle zrównoważonym latem.

Ot, takim błękitno-zielonym, jak dziś.

A właśnie oczy, niesyte wiosny, chciałyby jeszcze i jeszcze nabierać w źrenice jaknajwięcej białości ukwieconej wiśni i nacieszyć się wonią bzów, co tak niedawno kwitły. Tak mocno aż do bólu się chce, ażeby na te ostatnie dni majowe ubieliły się nagle sady kwieciami.

Bezsilne pragnienie. I beznadziejne

Na tropie harcerskim

Z ŁGCO i ŁSCO



53. polska drużyna ŁGCO po poświęceniu nowego sztandaru

53. DRUŻYNA POLSKA ŁGCO MA SWÓJ SZTANDAR. Dnia 23. V b. r. odbyła się w drużynie podniosła uroczystość poświęcenia i wręczenia sztandaru.

Uroczystość poprzedziło nabożeństwo w kościele Matki Boskiej Bolesnej, podczas którego Wielebny ks. kapelan J. Buturowicz dokonał aktu poświęcenia sztandaru.

Uroczystość zagała hufcowa harcerzek ŁGCO drużyna J. Blitcowa, wręczając następnie sztandar drużynowej drużynie L. Grodelównie. Po odśpiewaniu hymnów, złożyły przyrzeczenie młodsze harcerki i zuchy.

Z kolei podniosła przemówienie wygłosiła opiekunka 53. drużyny p. M. Stankiewiczówna, podkreślając, że drużyna istnieje zaledwie kilka lat, a już pochwalić się może pięknym dorobkiem.

Przedstawicielki i przedstawiciele drużyn harcerskich składali kolejno swe życzenia.

Na zakończenie odśpiewano „Rotę” i harcerki pomaszerowały na defiladę harcerską.

Uroczystość ta zostanie na zawsze w pamięci druhen. (W. Wojciechow)

23. UB. M. MIAŁA MIEJSCE W STOLICY WIELKA DEFILADA SKAUTÓW ŁSCO Z UDZIAŁEM GAJD ŁGCO. Defilada odbyła się na placu Wieniawy. Wzięło w niej udział 1760 zuchów i skautów oraz 360 gajd. Na defiladzie obecni m. in. byli minister Spraw Społecznych A. Berziński, minister Oświaty prof. A. Tentelis, minister Sprawiedliwości H. Apsitis oraz komendant Zamku płk. R. Bebris.

Po przemówieniu ministra A. Berzińskiego, który też pozdrowił skautów i gajdy w imieniu Prezydenta Państwa dr. K. Ulmanisa, miało miejsce wręczenie nowych sztandarów 25 drużynom, dekoracja

orderami harcerskimi szeregu instruktorów oraz odznakami za uratowanie życia kilku kautów, dekoracja odznaką „Saulite” szeregu przyjaciół skautingu, wśród których znaleźli się m. in. ministrowie Sprawiedliwości H. Apsitis, Skarbu — L. Ekiis i Opieki Społecznej — W. Rubuls, popisy skautowe oraz defilada.

Wieczorem w Klubie Skautowym miało miejsce przyrzeczenie, złożone przez 52 nowo-mianowanych instruktorów ŁSCO. W tej liczbie znaleźli się dwaj instruktorzy z 86. polskiej drużyny harcerskiej ŁSCO druhowie Mozejko i Gładan.

Podobna defilada skautowa odbyła się również 23. ub. m. w Liepai.

Przed Jamboree w Holandii

CO SŁYCHAĆ W HOLANDII?

(Reportaż specjalnego delegata „Na tropie“.)

Pierwsze wrażenie po przekroczeniu granicy niemiecko-holenderskiej stanowiło dla mnie pewne rozczarowanie. Mimo uważnego rozglądania się wokół nie mogłem dostrzec ani wiatraków, ani kanałów, ani pól tulipanów — tego wszystkiego co jest charakterystyczne dla Holandii — las kominów fabrycznych, bezduszny, pozbawiony zieleni krajobraz upodobił się nadgraniczną Limburgię do sąsiednich okręgów przemysłowych Belgii i Niemiec. W Heerlen, głównym mieście tej prowincji pozostałem jeden dzień w gościnie u ks. Hoffmanna, komendanta miejscowego hufca harcerzy polskich. Hufiec przygotowuje drużynę reprezentacyjną do wyjazdu na Jamboree. Odwiedziłem ich zbiórke. Dzielnicy to chłopcy — synowie górników polskich, emigrantów — mimo, że większość z nich nigdy Polski nie widziała, doskonale mówią po polsku, uważają się za Polaków i wszędzie to wyraźnie podkreślają. Jest to w dużym stopniu zasługa miejscowego harcerstwa, do którego należy 90% całej młodzieży polskiej.

Z Heerlen udałem się bezpośrednio do Hagi. W Głównej Kwaterze Skautów Holenderskich, zajmującej bardzo ładny pałacyk w najelegantszej dzielnicy Hagi — ruch.

Przygotowywane są narazie wszelkie plany, regulaminy, zawierane umowy z firmami, które będą robić urządzenia Złotowe oraz z dostawcami żywności, zatapia się sprawy transportów kolejowych i morskich. Od 1. maja rozpoczęły się prace na samym terenie Jamboree. Miejsce Złotu — jak o tym doniosły już komunikaty — stanowią łąki niezliczone zadrzewione, położone w odległości 4 km. od morza Północnego oraz 1 km. od stacji Vogelenzang, znajdującej się na najruchliwszej linii kolejowej Holandii Rotterdam — Haga — Amsterdam. O kilka km. stąd leży Haarlem, centrum hodowli tulipanów i wogóle ogrodnictwa holenderskiego. Teren jest niewielki: obozy poszczególnych reprezentacji będą przylegały do siebie. Między podobozami złotowymi na wąskich paskach łąki, ograniczonych z dwu stron rowami, będą pasły się rasowe krowki holenderskie, nieodzowne akcesoria miejscowego krajobrazu.

swoimi i nie swoimi — do staruszka. Nieodmiennie zastają go na tym samym miejscu, jak — ze szkiełkiem na oku — pochylony — dłubie coś w zegarku.

Czasem wypęła z drugiej izby jego żona i z jakąś tępotą na niemilej twarzy mruczy kłótliwym, śmiesznym akcentem: — „Nie bierz roboty, nie bierz, dla ministrów do Rygi — kiedy skończysz?”

I to przy paru odwiedzinach, tak samo. Już w tych ministrów nie wierzę, ale ciekawa jestem, w jakim celu powtarza ona to, jakby wyuczone, zdanie?

Staruszek żąda tak śmiesznie małego wynagrodzenia za naprawę, że go zapytałam, jak może się z tego utrzymać? Uśmiechnął się lekko i odpowiedział rosyjskim przysłowiem. Że gdy nic do nici przyłączysz, to i koszulę będziesz miał.

Potem długo nie miałam interesu do starego zegarmistrza. Poszłam w tę wiosnę. Siedział tak samo przy oknie — stary, przygarbiony, ale z wąsem zawadiacko podkreślonym na starannie ogolonej twarzy.

Te same zegary cykają swoją melo-

POLSKIE DRUŻYNY HARCERSKIE ŁSCO w Rydze wzięły w ub. niedzielę 30. V b. r. udział w czystej procesji Bożego Ciała.

Czy napisałeś już coś o życiu i pracy
Twojej drużyny
do działu „Na tropie harcerskim”
w „NASZYM ŻYCIU”?

O rozmiarach terenu świadczyć może fakt, że od centrum Złotu do jego najdalszych krańców idzie się 10—15 minut. Przy wyborze tego terenu Holendrzy liczyli na udział ok. 20.000 skautów w Jamboree, w tej chwili na zasadzie orientacyjnych zgłoszeń liczba ta wzrosła do 25.000, w tym: 8000 Anglików, 2500 Francuzów, 1000 Amerykan, 850 Belgów, 700 Polaków, 500 Węgrów i szereg mniejszych reprezentacji — pozatem około 8000 gospodarzy.

Złośliwi powiadają, że w tej chwili jedynym zajęciem Komendy na terenie Złotu jest wyłapywanie i tępienie szczurów, które, zresztą, w nizinnej i błotnistej Holandii są zjawiskiem dość pospolitym.

JAK CZŁOWIEK ZWALCZYŁ MORZE, CZYLI NIECO WIADOMOŚCI O HOLANDII CZY WIESZ?

Że tylko 20% ludności zajmuje się rolnictwem, a 40% pracuje w przemyśle, że Holandia ma największą wydajność zbóż 1 ha w Europie, że największą ilość bydła i trzody chlewnej w



Minister Oświaty prof. A. Tentelis podczas popisów harcerskich przygląda się 36. polskiej drużynie ŁSCO, która demonstruje pierwszą pomoc podczas defilady

dię. Przysięgłbyś, że i w rękę mistrza tkwi ten sam z przed roku zegarek.

Nie śpiesząc się, z ukosa, zerka na mnie i w dalszym ciągu bada mechanizm. Podsuwam swój zegar. Ogląda. Mówię co i jak. — „Już my zrobim, żeby nie kapryśił” — powiada i wstaje, żeby mnie odprowadzić do sieni. A w drodze z galanterią światowca mówi: — „Piękna pogoda”. I uśmiecha się pod wymuskany wąsem.

Jedyna zmiana to że nie wykonuje już punktualnie roboty. Chodzę kilka razy, a on nieodmiennie mówi: — „Kapryśił”. Na próby mego oburzenia, że tak długo czekam na zegarek, mówi zupełnie spokojnie, tonem grzecznej informacji: — „Wytrzyma panienka i bez zegarka”. I podnosi się, żeby odbyć tradycyjne „wypuszczanie” do sieni. I za nic go nie można umówić, by nie wstawał.

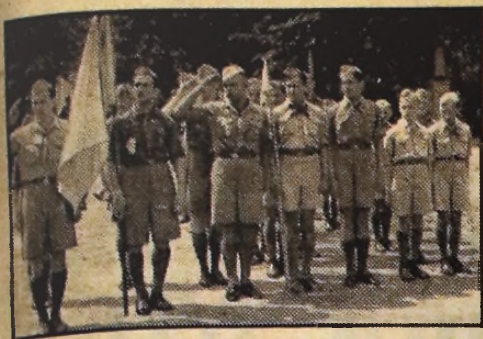
Spełnia staruszek swoje obowiązki równie mechanicznie i sprawnie, jak — nikomu już widocznie niepotrzebne — zegary, co wiszą w jego pokoju. Te same przed dwoma laty i te same dziś. Wiszą sobie i cykają na różne tony. A star-

Kronika życia bieżącego

P.S.A. na wycieczce

Podaję do wiadomości Czytelników niniejszego pisma, że w ubiegłą niedzielę Stowarzyszeniowcy, pod batutą papy Apsolona i... leona, ruszyli na zieloną trawkę. Zbiórka i odjazd oficjalnie o 8,30, nieoficjalnie — o 9,30 autobusem na północ Łotwy. Niech Czytelnik, który rzuci okiem na ten komunikat, nie myśli, że dotarto do granic Estonii, bynajmniej — na to nie pozwalał czas, a przede wszystkim brak gotówki. Należało tylko wybrać z podmiejskich willi i dotrzeć tam, gdzie nie ma papieru, stłuczonych butelek i puszek-śladów niedawnej bytności ludzkiej. To też po dwudziestu i kilku kilometrach bractwo wyszło z luksusowego, jak na wycieczki, autobusu i ulokowało się bezpiecznie nad brzegiem jeziora, budzącego wieczorem natchnienia romantyczne, z którego przeciwległego brzegu widniały szare namioty harcerskie. Na wycieczce, jak zwykle na wycieczce, ruch, bieżanina, śpiew, patefon ryczy, a i nieradko flirty. Kolega R. próbował łapać ryby, dając na przynętę ser szwajcarski, co zresztą mu się nie udało, gdyż ser był zbyt świeży. Ale o tym, jak ona łapała jego, ten też, a tamten mu przeszkadzał, nie będę pisał ze względu na brak miejsca oraz zrozumiałe niezadowolenie redaktora, który zmarszczył się, przeczytawszy tę parodię felietonu. No, ale trudno. Otóż moi drodzy, towarzystwo bawiło się z osiem godzin, skakało, tańczyło, no, oczywiście, fotografowało się, a jak na złość — przez cały czas pogoda dopisywała. Bo gdy jeden naświetlał plecy, inny szukał cienia dla ochłody. A może i nie dla ochłody. Słowem banda rozluźniła się wobec czego wybuchały nawet klótnie. Jednego nawet próbowano utopić, ale zaniechano, przekonawszy się, że sam nie tonie, a kamienia w pobliżu nie znaleźli. Ostatecznie wszystko ułagodziło się, zmęczyło, przycichło i powlokło się do odległego o 5 staj autobusu. Lecz na tym nie koniec. Część bractwa postanowiła rzucić okiem na pobliskie morze i, narzekając na gnuśność większości, poszła nad brzeg. Tam brzydka pleć, oddalwszy się przyzwocie o 200 m. od pozostałych i oddawszy lornetkę osobie neutralnej, użyła sobie rozkosznej, acz nie zbyt ciepłej, kąpiel. Po powrocie do tych gnuśnych, zawrócono do domu. Nieszczęście czy też szczęście chciało, że nad brzegiem Gauji zarządzono postój. A tam pod krzakami „coś błyszczący z dala-banda cyganów ogień rozpała”. Cyganie? Cyganki? Trzeba powróżyć. Dużo rzeczy osobliwych widziałem, ale nie zdarzyło mi się doświadczyć czy też słyszeć, by cyganka wywróżyła komuś nieszczęście, że powiesi się nazajutrz, czy przynajmniej złamie nogę — zawsze w przyszłości będzie szczęśliwym i bogatym. Konia z rżędem temu który usłyszał niepomyślną wróżbę! Chyba że zaznaczył przed tym, iż za wróżbę nie da. To też i tamte cyganki każdemu za 20 sant, przepowiadały pomyślności co nie miara. A najdziwniejsze, powiedziały dwom koleżankom, że w dniu urodzin wygrają na loterii. Wygrają, może na loterii, a

noże na fujarce. Ja też chciałbym wygrać, chociaż tą poduszkę, na której wygranie kupiłem dwa bilety i już ją obiecałem sprezentować koleżance. Chociaż tu przypomina się znowu przysłowie o skórze niedźwiedziej. Ale dość dygresyj — trzeba kończyć, a zresztą już nie ma o czym, bo wycieczkowicze, przyjechawszy szczęśliwie do swej siedziby, rozleźli się zadowoleni i pełni przyjemnych wrażeń. (R. Marie)



86. polska drużyna LSCO na defiladzie

stosunku do powierzchni państwa jest w Europie w Holandii, że Holandia ma 3.600 km. kanałów, a przewóz towarów drogami śródlądowymi jest w Holandii największy w Europie, że w Holandii jest 144 tysiące samochodów, że flota handlowa holenderska, ósma co do miejsca na świecie, liczy 2.500 tys. t., że największy port Holandii — Rotterdam ma ruch portowy 17 milj. t., że 14% nagród Nobla otrzymali Holendrzy, że wreszcie najdłuższa linia lotnicza świata należy do Holendrów — Amsterdam — Bawaria na wyspie Jawie.

Tyle suchych, ale jakże wymownych cyfr! Można by jeszcze wiele innych danych przytoczyć, myślę jednak, że te wystarczą, by zobrazować charakter Holandii.

Swe stanowisko zawdzięcza Holandia przede wszystkim doskonałemu położeniu (morze, ujście Renu, sąsiedztwo bogatych państw), potężnym bogactwem w surowce koloniom oraz zaradności pracowitości mieszkańców.

A. Anik - Nikończuk

Do boju!

Krzyże w dłonie i do boju!
 Niech zapłonie Duch pokoju,
 Czas kulturę dźwignąć w górę —
 W cichą, świętą Nieba wyż...
 Niech się toczy bój bezkrwawy!
 Nie dla oczu, nie dla sławy...
 Niech — nie z stali miecz się pali,
 Lecz radosny, jasny Krzyż!...
 — Dziś świat w męce, lży się leją...
 Dać mu w ręce Krzyż z nadzieją
 I olbrzymie Boże imię —
 Na sztandary — trzeba dać.
 Siły z nieba mu potrzeba
 W pierś zbolala cicho wlać.

szek tym samym ukośnym spojrzeniem darzy klientów i wyciąga starą rękę po zegarki, które z miłością otwiera i ogląda. A potem drepce wytrwale przez izbę, kuchnię i sień. I mówi: — „Piękna dziś pogoda”. A to brzmi, jakby chciał powiedzieć: dla ciebie jest wiosna i jest słońce — ja mam same zegary. Ale nie myśl, że się nie znam na twojej wiosnie! Piękna jest. Jednak wolę swój kąk pod zamkniętym oknem i tajemnicę kopert zegarowych. I to przedziwne cykanie, które mówi mi stołkroć więcej, niż twoja wiosna...

Tuż obok tego staruszka przypomina mi się mały Żydziak, którego czasem widuję. Ma dwa i pół lata, długie, ciemne włosy w puklach i śliczne oczy. Obok zaś dwoje dzieci słowiańskich o jasnych włosach i wesolych oczkach. Skacza, harcują, łapia wiosnę w rączki i oczy, zaś z boku kroczy Jasek — poważnym, starczym chodem, bez oglądania się, bez dziecinnej ruchliwości. Nie bawi się i nie biega. Nie krzyczy. A tak jakos patrzy, jakby już wszystko wiedział, widział i rozumiał. Skąd się bierze u tych dzieci

po drugim roku życia — taki poważny i pewny sposób chodzenia? I czemu wiosną nie nasiakają jego oczy?

Tak chętnie wzięłabym Jaska za rękę i poprowadziła do starego zegarmistrza. Zrozumieli by się — jestem pewna: ten nad grobem i tamten u progu życia. Zrozumieliby się, bo obaj ignorują wiosnę, która im coś zaślania. Obaj noszą w sobie jakąś mądrość, drwiącą ze wszystkiego. Spojrzeliby na siebie, a potem stary znowu pochyliliby twarz nad swoimi zegarkami, po które nie wyciągnąłby ręki malec, jak to zrobiłyby inne dzieci, ale właśnie splótłby te ręce w tyle i chodził po izdebce. Swoim dorosłym, opanowanym chodem.

Widocznie więc cieszyć się z byle czego, to też jakaś trudna umiejętność, której nie posiada ani stary zegarmistrz, ani mały Jasek.

Dlatego tak skapi są na uśmiechy i radość...

Daugawpils, w maju 1937 r.

Wanda Ihnatowiczówna

5 dni w Polsce

Wycieczkę do Warszawy, Krakowa Wieliczki ORGANIZUJE

„CELTRANS“

Wyjazd 12. czerwca b. r. Zgłoszenia do 7. czerwca b. r. w Daugawpilsie — przy ul. Rigas Nr. 61, tel. 2774.

Koszta udziału w wycieczce, wliczając utrzymanie, hotele, paszporty i inne wydatki, wynoszą Łs. 142.—.

Poważne

pośrednictwo matrymonialne

KONTAKTY W KRAJU I ZAGRANICĄ.

Kierowniczką: E. Kniazewska.

Przyjmuje od godz. 5 do 8 w Rydze przy ul. Stabu 62, m. 5.

BACZNOŚĆ RODACY! Pamiętajcie o śmierci! Polska Kasa Pogrzebowa przypomina, że śmierć może spaść na Was niespodzianie. Czy zabezpieczyliście już swoich Rodziców? Żony? Dzieci? Jeżeli tego jeszcze nie uczyniliście, to pośpieszcie zapisać się do P. K. P., która pomoże każdemu w tym nieszczęściu!

Zarząd P. K. P. przyjmuje nowych członków i członkowskie opłaty w Domu Polskim (Riga, przy ul. Dzirnawu 46) w niedzielę: 6. czerwca, 5. września b. r. od godz. 12-do do 14 po poł., oprócz tego przyjmują w sprawach Kasy — prezes p. N. Malinowski codziennie od godz. 15 do 17 po poł. (Meža parks, Meža prospekts 72. m. l. Autobus Nr. 22 do ul. Stendera) i skarbnik p. W. Granatek (oprócz swięt) M. Nometu Nr. 39. m. 7. po 17. godz. po poł.

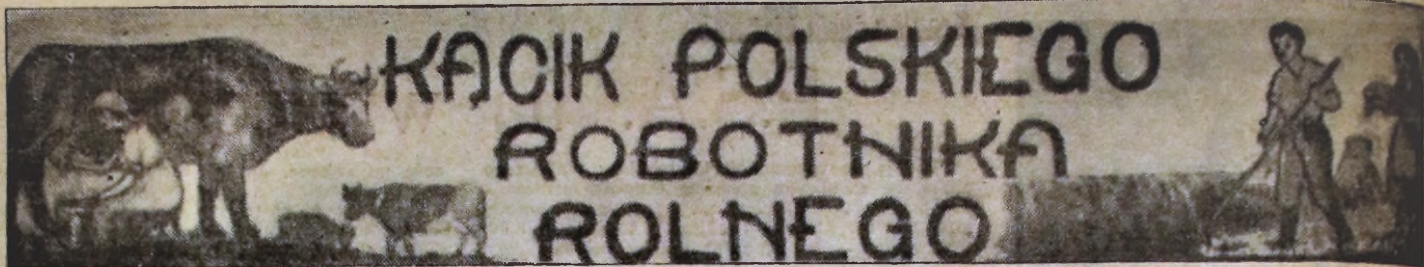
ZARZĄD P. K. P. uprasza wszystkich członków 6. czerwca b. r. wpłacić Łs 2.— na 10-letni obchód Kasy, albo najpóźniej do 24. czerwca b. r. skarbnikowi lub prezesowi, którzy przyjadą do członków Kasy po Łs 2.— (plus kosztą przejazdu).

ZWRACAMY UWAGĘ

Prenumeratorów i Czytelników „Naszego Życia” iż Administracja pisma czynna jest codziennie (z wyjątkiem niedziel) od godz. 9. do godz. 15, w soboty — od godz. 9. do godz. 13. W powyższych godzinach Administracja załatwia wszystkie sprawy, dotyczące pisma, jak: przyjmowanie prenumeraty, nowych prenumeratorów, zmiana adresów etc.

PAN INŻYNIER WŁODZIMIERZ FEDOROWSKI zwraca się do filatelistów w Łotwie z prośbą o podanie mu swych adresów, celem wymiany listownej znaczek pocztowych.

Pisać można po polsku, niemiecku i rosyjsku pod adresem: inż. Włodzimierz Fedorowski, poczta Chropaczów, kopalnia Śląsk. Polija.



Stary Bartłomiej ma głos

Już dawno z Wami nie gwarzyłem. Obawiam się, że niejeden zapomniał już o moim istnieniu, choć ja — ze swej strony — ciągle przyglądam się Waszej tutaj pracy, uważnie czytając Wasze i wraz z Wami smucę się lub cieszę. Oczywiście najbardziej interesuje mnie po staremu, jakie to wrażenie robi na Was „Nasze Życie” — pismo, po przez które utrzymujemy z Wami łączność, które nas wiąże i zespala w jedną, wielką rodzinę. Bo przecież dużo Was przybyło w roku bieżącym znowu na pracę do Łotwy, dużo wśród Was jest nowych całkiem i nieznajomych twarzy! Jak że więc Ci nowi witają to „Nasze Życie”?

Posłuchajcie.

Oto Józef Kardel pisze do nas, co następuje:

— „Zachodzę do jednej katolickiej rodziny, patrzę — polskie pismo leży na stole. Z jakim wielkim zachwytem zacząłem je przeglądać! I ile pożytecznych znalazłem w nim rzeczy! To też od razu postanowiłem napisać do Redakcji, aby i do mnie pismo przesyłano, aby mieć to ukochane pismo i w swoim pokoju, u siebie na stole”.

Chyba nie potrzebuję dodawać, że ten kolega Wasz od razu stał się przyjacielem naszym i pisma, a więc i my staliśmy się jego przyjaciółmi. Przyjaciół takich mamy zresztą coraz więcej.

Czy uważnie przeczytałeś w numerze poprzednim wiersz Józefa Ankudowicza, nawołujący do wstępowania w szeregi naszych towarzyszy — czytelników „Nasze Życie”? Czy kolega Wasz Józef Ankudowicz nie jest naszym wspólnym przyjacielem? Bo nie tylko o siebie, ale i o Was również się troszczy.

Takich jak on, mamy już sporo. Bacznie się przyglądają oni życiu dookoła,

patrzają jak zachowuje się ten lub ów robotnik czy robotnica polska, a potem dzielą się z nami i z Wami na łamach naszej wspólnej gazetki swymi spostrzeżeniami i uwagami. A więc np. pisze do nas J. Surwido, że jedną z robotnic polskich zastał przy pracy w dniu polskiego święta narodowego 3. Maja i jak to jej wymawiał, że dzień ten musiałaby raczej poświęcić na pójście do kościoła oraz na przeczytanie gazetki polskiej. Inny znowu robotnik donosi o złym zachowaniu się robotnic polskich oraz swoich współkolegów, którzy, zamiast pożytecznie czas spędzić, trwonią ciężko zapracowany grosz na karty lub alkohol.

Dużo przynosi poczta do nas listów,

dużo (to są świadectwa pamięci Waszej o nas) Waszych listów. Z nich to czerpiemy wiadomości do Waszego „Kacika”, a Wy później zaznajamiacie się z życiem Waszych kolegów w innych okolicach kraju, do którego przybyliście i w którym pracujecie.

Na zakończenie dzisiejszej gawędy z Wami, zwracam uwagę robotnic polskich na wiersz nadesłany nam przez robotnika polskiego Ławrutana, który przepisał go z myślą o naszych robotnicach. Niech się uczą one z tego wiersza, jak wielką wagą ma istotna miłość w życiu i jak ostrożnie z nią postępować należy, aby była istotnie słońcem, a nie ciężarem.

Stary Bartłomiej

Czy ty wiesz?...

Czy wiesz ty piękna i ty uśmiechniona,
Której usteczka rozchyła pustota,
Co znaczy „kocham”, to najświętsze słowo,
Co pada z piersi, jako strzala złota,
I, jak królewskiej purpury zasłona,
Oddziela Ciebie, wzruszeniem różową,
Od wszystkich ludzi na całej tej ziemi
Byś otworzyła jednemu ramiona?
Czy wiesz ty o tym, motylu i kwiecie,
Poranków wiosny ty śpiwna ptaszyno,
Że ta godzina, w której usta twoje
Szeptają to słowo — jest cudów godziną,
Że wtedy jasno robi się na świecie,
Że srebrem biją wszystkie żywe zdroje...
Że róże w pękach plonią się wiosenne,
Że dziwne mary, rozwiewne i senne,
Ciałem się stają pod drzącą twą dłonią,
Że w tej żrenicy, jako w pryzmie słońca,
Życie odbija blasków tysiące
I załamuje promień brylantowy...
Że noc koronę srebrną swojej głowy
U stóp twych w chłodnych rozsypuje

Być domu twego światłem i ozdobą
I nieść ci pokój i ciszę i zdrowie.
„Kocham” — to znaczy Twoje ideały
I Twoje cele są także moimi,
Kocham to znaczy: chcę z tobą podzielić
Gorzki chleb truda i łez boleści,
Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić
I tarczą być twojej cześci...
Chcę na twych piersiach być, jak róża

W której płomyczek tajemniczy pała.
I chcę być jako pieczęć rubinowa
Na ustach twoich bez słowa...
„Kocham” — to znaczy: chcę w cichym
Życie zapomniana, byleś ty był ze mną...
Chcę nad kołyską naszymu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną...
Ja nie chcę ciężać tobie, jak kajdany...
Wiążąc się z ziemią żelaznym

Chcę tylko, byś mnie uznał, mój kochany,
Bratnim, pokrewnym ci duchem!
„Kocham”, to znaczy: ja chcę być dla

Prawdy i dobra i piękna zaklęciem,
Umilowaniem twej duszy, dziecięciem,
Twoim marzeniem o niebie...
Chcę domu twego być białym powojem,
Twojemu czułu od skwarów ochroną,
Chcę być twą myślą i ramieniem twoim,
I przyjacielem i — żoną...
Jeśli w twych piersiach, dziewczyno, nie

Serce do takiej podniosłej miłości —
Nie mów ty — „kocham” nikomu na ziemi.
Bo ten, co z tobą połączy swą dola,
Patrząc na Ciebie oczyma smutnymi
Nigdy nie powie, że żyje...
nadesłał dla robotnic polskich w
Łotwie

Konstanty Ławrutan
polski robotnik rolny

Nasze porady i odpowiedzi

A. Podziawo — Leimani. O tym, w jakie dni ma prawo polski robotnik świętować, mówi § 5. umowy, zawartej między każdym gospodarzem, a robotnikiem.

J. Parfionow — Ape. Numer telefonu Konsulatu R. P., o który Pan zapytuje, jest 23568.

Mikołaj Szezelkun — Ligatne. Słownik łotewsko-polsko-litewski wysyłamy po otrzymaniu tytułem opłaty za egzemplarz i przesyłkę Łs 1.—. Przesłać można także w liście znaczkami pocztowymi.

M. Ignatowicz. W odpowiedzi na drugie pytanie Pana, skierowane do nas, komunikujemy, że sprawę tę załatwić może Pan przez księgarnię polską G. Butkiewicza w Rydze (Riga, Kr. Barona iela 14), przysyłając Łs 10.— za półroczną oraz konieczne dane.

rosach,
że twym wzruszeniem drżą gwiazdy w niebiosach...
Posłuchaj! „kocham”, to nie znaczy

wcale —
Chcę być pieszczołą w twym domu królową,

Chcę iść przez życie drogą kwieciami słaną,
Chcę w pocałunkach twoich tonąć szale,
Chcę by mi słonko świeciło co rano,
Chcę by co wieczór lampę diamentową
Srebrzysty księżyc palił mi nad głową,
Chcę byś dzień cały mojego szczebiotu
Słuchał i zawsze witał mnie uśmiechem,
Chcę byś mi pieśni śpiewał wraz z

słowikiem,
Chcę żyć z twej pracy i z twojego potu,
Chcę byś był moim cieniem, moim tchem,
Odpowiedzialnym za mnie niewolnikiem!
Nie! „Kocham Ciebie!”, to znaczy chcę z tobą
Podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,

SPRAWY GOSPODARCZE



Nasze porady

SOLENIE SIANA

Solenie siana. Solenie to nie tylko najlepsze zabezpieczenie siana przed zgnieniem i zapleśnieniem w lata dżdżyste i wilgotne, ale jedyny sposób zachowania w nim wszystkich składników pożywnych.

W tym celu jednak trzeba solić nie siano już przeschnięte, ale trawę przewiedłą w 24 godziny po ścięciu.

Sposób ten jest szeroko stosowany w Szwajcarii, Niemczech, Francji, Szwecji i Norwegii, chociaż sól pastwana czyli bydłęca, nie jest w tych krajach tańsza od soli jadalnej.

Pomimo to rolnicy tamtejsi mówią, że im się to zupełnie oplaca, bo daje olbrzymią oszczędność pracy i pewność, że siano nie zepsuje.

Solenie siana, dopóki zupełnie nie przeżnie, ma jeszcze i tę wartość, że trawa, krócej leżąc na pokosie, krócej oddycha, bo jest prędzej zamiera, a przez oddychanie roślina traci część białka i skrobi.

Do solenia siana, z lekka przewiedłego, bierze się soli więcej, niż do solenia siana przeschniętego, bo od półtora do dwu kilogramów na 100 kilogramów siana.

Siano układa się warstwami w kopce, każdą kopkę mocno ubijając, żeby uchronić przed dostępem powietrza. Warstwy siana przesypuje się solą bydłęcą mieloną z domieszką kolkotaru. Z wierzchu kopiec nakrywa się suchą słomą.

Osolone w ten sposób siano można zwozić już po dwu dniach bez obawy, że zapleśnieje lub zgnije. Może też takie siano stać na polu w najgorszą niepogodę, a nie mu nie szkodzi deszcz ani wilgoć.

Nie wruszajmy za często roli pod oziminy. Nieraz rolnicy uprawiając rolę pod oziminy stale w niej pracują, orzą, kultywują, bronują i znów orzą, nie dając wprost roli „odetchnąć”. Postępowanie takie jest wadliwe. Pominąwszy już to, że przez taką uprawę rola się rozpyli, od byle deszczu zaskorupi, a na zimę nie będzie pokryta bryłkami, wśród których nie zatrzyma się, śnieg, pędzony wiatrem po gładkim polu, ale i potrzebny bezwodnik kwasu węglowego do asymilowania przez młode oziminy, nie zatrzyma się na gładkiej powierzchni, nie pokrytej bryłkami — to jednak prócz tego ciągle przewracanie roli ma ujemny wpływ na procesy fizyczne, chemiczne i biologiczne samej gleby, a wszystko to może się odbić po tym na urodzaju.

Rola bowiem musi „odpocząć” między jedną orką a drugą, muszą w niej zająć potrzebne procesy, muszą się w niej rozwinąć bakterie. Bez nich gleba byłaby istotą martwą, a bakterie rozwijając się mogą tylko w spokoju i to ani w głębi roli, ani na jej powierzchni, lecz właśnie w nieruszanej kilku centymetrowej wierzchniej warstwie roli. Prócz tego bakterie potrzebują dla swego rozwoju pewne minimum wilgoci. Tymczasem wsku-

tek ustawicznego „gmerania” w roli, ta ostatnia rozpyla się i wysusza tak, że wszelkie procesy w niej są zahamowane, ziarno nie może skielkować, rola nie nabierze potrzebnej sprawności w rezultacie czego plon może być marny.

Praktyka uczy nas, że dobre rezultaty przy jesiennych uprawach otrzymamy wtedy, gdy damy pod oziminy dwie orki, a to pierwsza tak zwana „podorywkę” t. j. orkę płytką na 5—7 cm, tuż po sprzęcie poprzedzającego oziminy plonu i zaraz zabronować, a następnie, gdy w 4—6 tygodni damy właściwą orkę głębszą, tak zw. „siewną”, przy czym ta ostatnia orka pod pszenicę może być wykonana i przed samym siewem, a pod żyto musimy ją uskutecznić na parę tygodni przed siewem, by się odleżała i osiadła, bo inaczej nie będzie dobrego plonu żyta. Ale jeśli mamy za mało czasu po sprzęcie przedplonu na przygotowanie roli pod oziminy, to lepiej będzie zamiast dawać parę orok jedną po drugiej, zedrzeć ścierną tuż za sierpem kultywatorem, a potem dać jedną, ale dobrą orkę „siewną” plugiem z „przedpluzkiem”, t. j. „podrzynaczem” i raz tylko przeszedłszy broną, by wilgoć nam z głębszych warstw nie uciekła, zostawić ją w spokoju i przed siewem doprawić broną. Gdyby jednak rola wskutek deszczów zanadto zbiła się, a przez to stała się nieprzepuszczalną w głębszych warstwach, to można ją wruszyć przed siewem kultywatorem. Naturalnie powyższe wskazówki mogą mieć zastosowanie tam, gdzie rola niezaperzona, bo gdy perz się rozplenił, to podorywka konieczna, by wyciągnąć perz broną i kultywatorem, a dopiero wtedy myśleć o orce siewnej.

Po mieszańkach rola zwykle jest tak pulchna, sprawna, wskutek ocienienia jej roślinami, że najlepiej od razu po sprzęcie mieszanek dać plug, nie drapaczując przed tym, ani używając kultywatora. Gorzej jest z koniczykami, które nieraz — bez dania tuż po sprzęcie kultywatora — trudno po tym uprawiać, bo rola bardziej tu się sycha. Jednak i tu kultywator nie zawsze jest potrzebny.

Krwawy mocz. Krwawy mocz u bydła inaczej nazywa się chorobą leśną. Chorobę tę roznoszą kleszcze, które żywią się krwią zwierząt. Kleszcze żyją w wilgotnych lasach. Gdy bydło wyjdzie na pastwisko, kleszcze dostają się na skórę bydła.

Nie dość jest pismo CZYTAĆ, trzeba je jeszcze ROZPOWSZECHNIĄĆ wśród swoich bliskich i znajomych oraz samemu PRENUMEROWAĆ (t. zn. płacić za jego otrzymywanie).

Pamiętaj, że miesięcznie (cztery ładne, ilustrowane i bogate w treść numery) „Nasze Życie” kosztuje TYLKO 80 (osiemdziesiąt) santymów.

nakluwają ją i wprowadzają tak zwane pasożyty do krwi krowy, czyli krowy zarażają.

Objawy. Pierwsze objawy zauważyć można po dwóch tygodniach od chwili zakażenia. Początkowo występuje wysoka gorączka 40—42° C. Krowa przeżuwa słabo, z dużymi przerwami, oddech ma przyspieszony. Drugiego lub na początku trzeciego dnia ilość mleka zmniejsza się znacznie, jest ono lekko zabarwione na czerwono i ma smak gorzki. Mocz początkowo lekko zabarwiony na czerwono, po kilku dniach choroby staje się czerwono-brązowy, a nawet czarno-czerwono-brązowy.

Zwierzę jest bardzo osłabione: każdy ruch męczy je, czasami widać drżenie mięśni na łopatkach, lub na zadzie. Dostyc szybko następuje śmierć chorego zwierzęcia. Śmiertelność wśród chorych, starszych zwierząt wynosi ok. 50%. Młodsze sztuki bydła rogatego są odporniejsze. Z pośród jałowizny ginie tylko ok. 10%.

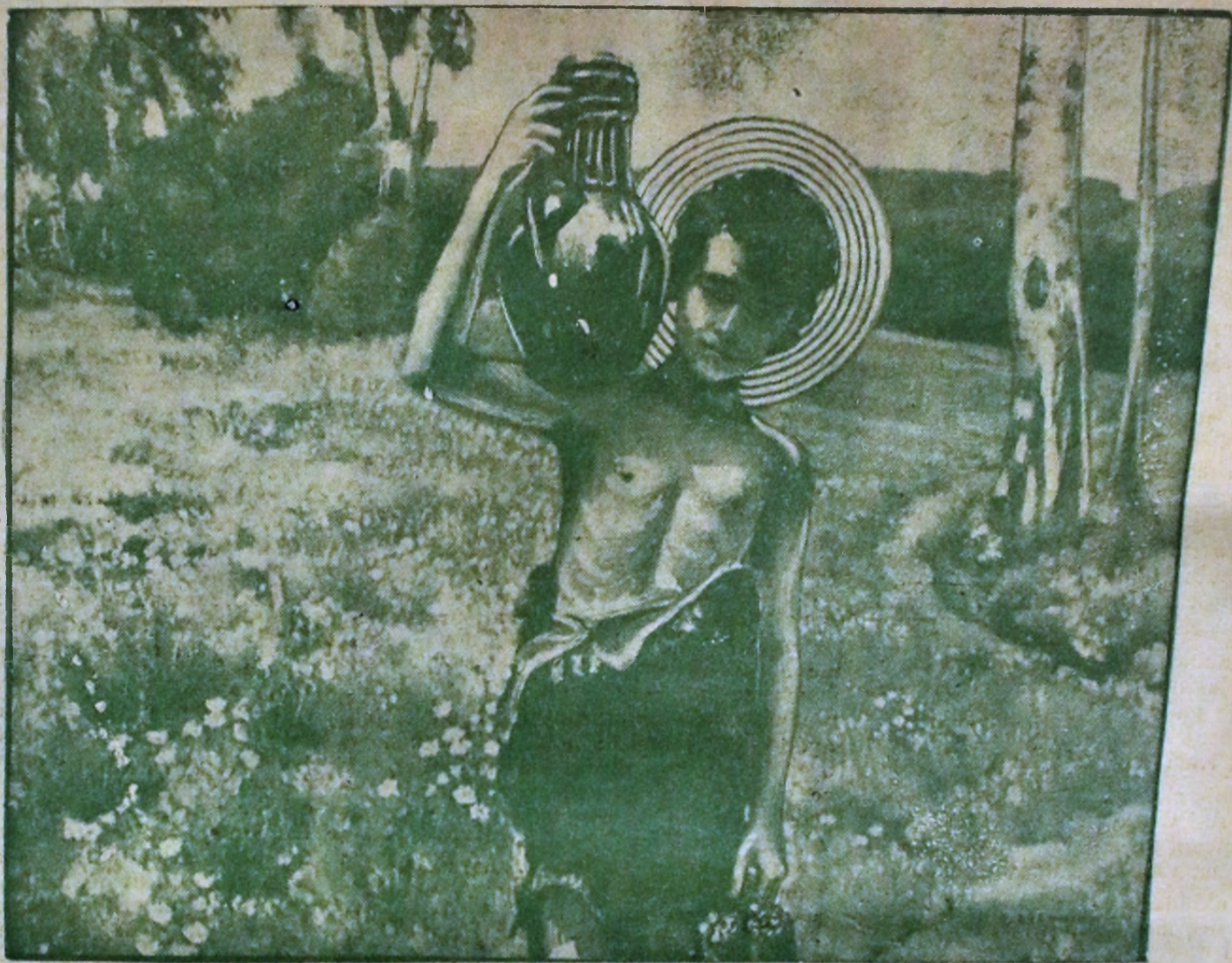
Leczenie polega na podtrzymaniu sił organizmu i na usunięciu, względnie zabiciu pasożytów we krwi. Należy podawać czarną kawę z wódką, biorąc ćwierć kilo czarnej kawy zmielonej na litr wody, zaparzyć, po wystygnięciu dołączyć szklanek czystego spirytusu lub 2 szklanki wódki, podzielić to na 2—3 porcje i podawać chorej krowie w ciągu dnia. Mieszaninę tę należy podawać przez cały czas trwania choroby, t. j. przez 2—3 dni z rzędu i każdego dnia brać ćwierć kilo świeżej kawy i szklanek spirytusu.

Niezależnie od tego dawać cztery razy dziennie odwar z liści mącznicy niedźwiedziny (po łacinie fol. Uvae ursi). Za każdym razem wziąć 25 gramów tych liści (kupić w aptece ćwierć kilo — wystarczy na 10 razy), zaparzyć gorącą wodą, przedzić, wlać do butelki, jak wystygnie — wlać do pyska.

Aby zniszczyć znajdujące się we krwi pasożyty trzeba zastrzykiwać domięśniowo, a jeszcze lepiej dożylnie błękit trypanu, podam tu dawkę jednorazową, którą można powtórzyć po 2—3 dniach, błękitu trypanu — 2 gramy, urotropiny — 1 gram, wody przekroplonej — 200 gram. Zmieszać. Zatrzyknąć domięśniowo 160 gramów.

Należy jednak zwrócić uwagę, iż bydło, któremu zastrzykiwany był błękit trypanu, nie może stanowić materiału rzeźnego w ciągu 2, a nawet 3 miesięcy. Błękit trypanu bowiem zabarwia mięso na kolor niebieski, który bardzo długo się utrzymuje.

Zapobieganie. Jeżeli bydło chodzi po pastwisku leśnym, lub w pobliżu lasu, to należy co pewien czas sprawdzać, czy na skórze brzucha lub na wymieniu nie siedzą kleszcze. Kleszcz taki, wielkości małego ziarenka grochu, szaro-stalowego koloru, bardzo mocno trzyma się skóry. Jeżeli znajdziemy takie kleszcze, to natychmiast należy je usunąć i spalić. Bydła zaś nie posyłać na zakażone pastwiska
St. Majewski



święty Jan — niesie malin dzban

Mal. Piotr Stachiewicz

Jak św. Jan się obwieści,
 Takich będzie
 Dni trzydzieści.

Gdy św. Jan łąki rosi,
 To chłop siano kosi,
 Suszy, zwozi,
 A czasem z wody wynosi.

Zbieraj rumianek
 Na św. Janek.

Gdy się deszcz w święto Jana
 Opuści obfity,
 Po nim w kilka dni,
 Wierz mi, bywa pozbyty.

Św. Jan przychodzi,
 Lato przywodzi.

Gdy Piotr z Pawłem
 W deszcz uderzy,
 Słońce za mgłą
 Tymczasem leży.

Kiedy kwitnie bób,
 To największy głód.
 A kiedy mak,
 To już nie tak.

Deszcz na Wita,
 Żle z jęczmiony, źle na żyta.
 A gdy jeszcze Chrzęciel skropi,
 Już ich wtedy nikt nie skopi.

Pogoda na Wita,
 To dobrze na żyta.

Gdy przychodzi Witus suchy,
 Tedy wiedzie z sobą muchy.

Przed św. Janem
 O deszcz trzeba prosić,
 Potem i sam będzie rosić.

Jak się na św. Jana rozpada,
 To też pada nielada.

Grzmoty w tym miesiącu zboże
 Promowują ku swej porze.
 Lecz gdy częste, chorób wiele
 Dla bydła
 I w ludzkim ciele.

Czerwiec po deszczowym maju,
 Często dożyty w naszym kraju.

Deszczu gdy nie pada wiele,
 Urodzaj się dobry ściele.

Deszcz w św. Małgorzacie
 Jest orzechom na stracie.

Posucha czerwcową,
 Zboża nie wychowa,

Jeżeli upały
 W sianokos i żniwa,
 To sima ostra
 I dokuczliwa
 A jeśli ślota
 To w ziemi dużo błota.

Medard cztery niedziele
 Podobnych do siebie ściele.

Czerwiec mokry, zimny maj,
 Gospodarzom pewny raj.

Czerwiec oracz obchodząc
 Łąki albo zboże,
 Pokłada w myśl,
 Jakie gumna nawieź może.

Jeśli czerwiec suchy,
 A ciepły deszcz pada,
 Urodzaje wina
 Dobre zapowiada.